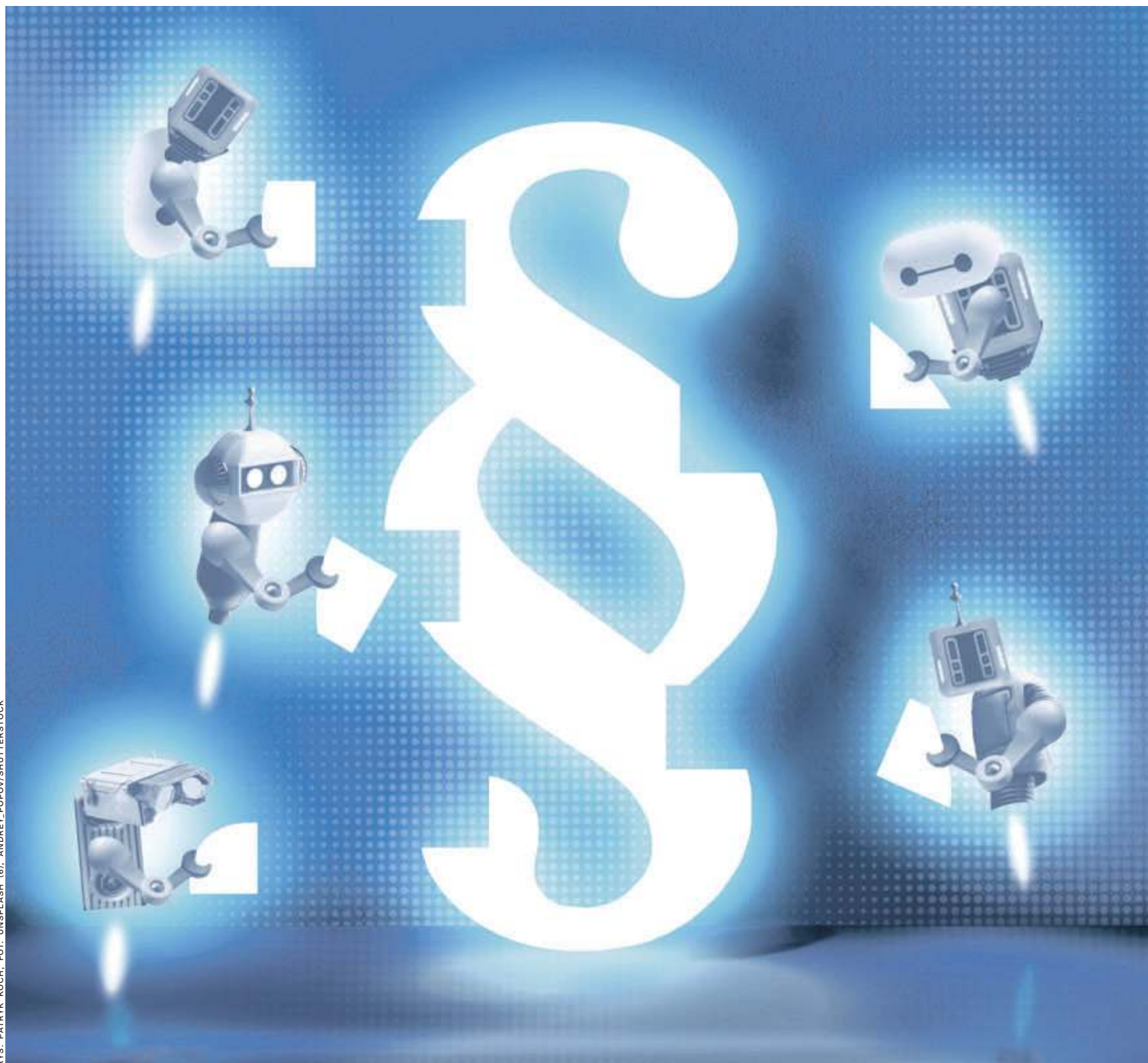


DGP

Dziennik
Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend



RYŚ. PATRYK KOCH. FOT. UNSPLASH (6), ANDREY POPOV/SHUTTERSTOCK

Technologia / M3

Jak algorytmy umeblują państwo

AI recenzuje przepisy, pomaga w ich egzekwowaniu i wspiera sędziów w wydawaniu wyroków. Czy powinniśmy jej pozwolić stanowić prawo?
zastanawia się Sebastian Stodolak

Prawo autorskie / M5

Wielka pralnia autorstwa

Big tech wypuścił systemy, które pod hasłem „wspólnoty wiedzy” przerabiają cudzy dorobek na zysk właścicieli tych rozwiązań
pisze Izabela Lipińska

Obronność / M8

AI na służbie

Wciąż nie ma międzynarodowych regulacji określających, w jakich przypadkach wykorzystanie broni autonomicznej jest uzasadnione
zauważa Piotr Wójcik



Węgry / M12

Jak rozbić zabetonowany system

Węgry oczekują nie tyle wymiany elit, ile głębokiej przebudowy państwa. Jak pogodzić społeczne oczekiwania resetu państwa z ramami praworządności UE analizuje Dominik Héjj

Wywiad / M18

Wszystkich nas nie powyrzucają

Ten rząd robi wiele złego, ale czyjeś grzechy nie usprawiedliwiają naszych grzechów. Zresztą przyszli koalicjanci nie chcą wspierać polityki zemsty mówi Krzysztof Szczucki



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Zamiast o niezależny TK módlmy się o monarchię

Jan Wróbel

Konfederacja domaga się „resetu konstytucyjnego”. Na przykład Trybunał Konstytucyjny zostałby wyzerowany – i wybralibyśmy nowych sędziów od nowa. I nawet w zgodzie z (nowym) prawem, uuhuu.

Były minister spraw zagranicznych Jacek Czaputowicz – dawniej związany z PiS, dziś jakby zawieszony między głównymi nurtami polskiej polityki – ocenił (w „Rzeczpospolitej”): „W Polsce większość albo dąży do zdominowania instytucji, albo ją delegalizuje. Wygląda na to, że na Trybunale Konstytucyjnym będziemy musieli postawić krzyżyk. Dobra wiadomość jest natomiast taka, że niektóre państwa dobrze funkcjonują bez Trybunału Konstytucyjnego, uznając, że jest on jedynie przeszkodą dla demokracji”.

Tak, TK ma trudne relacje z demokracją. Jego sędziowie są wybierani spośród niewielkiej grupy zawodowej, w sposób, który nie zapewnia im niezależności od polityków – a właściwie implikuje zależność. Nie tylko w Polsce. Parlamentarna większość mianuje sędziów Trybunału w Niemczech (ośmiu wybiera Bundestag i ośmiu Bundesrat). Bardziej najeżony bezpiecznikami system ma Hiszpania, niemniej i tutaj decydujący jest głos obu izb parlamentu. Zarówno w Niemczech, jak i w Hiszpa-

nii jest potrzebna jeszcze odpowiednia większość (kolejno: dwóch trzecich i trzech piątych), by dokonać wyboru. Osoby, które mają lepszą pamięć, mogą w tym miejscu przypomnieć sobie, że w czasach rządów PiS zgłaszano różne propozycje reformy sposobu wyboru naszego TK. Od kiedy jednak znowu rządzą ci, którzy rządzą przed PiS, reformy nie są już w cenie. Są za to w cenie dominacja i delegalizacja, które są na sztandarach zarówno koalicji rządowej, jak i opozycji pisowskiej, i na dokładkę braunowskiej.

Trybunał Konstytucyjny może być przeszkodą dla demokracji. W Holandii, przeciw demokratycznej jak wszyscy anieli, sławny art. 120 konstytucji zakazuje (!) sądom badania zgodności z konstytucją ustaw przyjętych przez parlament. Właśnie po to, by władza wybrana demokratycznie nie została skrepowana władzą jednej grupy zawodowej. W konsekwencji nie uświadczysz w Holandii Trybunału Konstytucyjnego. Wystarczy Holendrom, że ma tam sporo do powiedzenia monarcha, np. członkowie władzy sądowniczej są powoływani dożywotnio (!) dekretem królewskim. Może zamiast śnić o tym, że polscy politycy w trosce o Rzeczpospolitą zawiążą konstytucyjny alians, módlmy się o monarchię. ©



FOT. DMYTRO SMOLIENKO/UKRINFORM/NURPHOTO VIA GETTY IMAGES

Ukraina / M9

Żołnierz, haker, szpieg, inżynier

Losy wojny rosyjsko-ukraińskiej rozstrzygną się nie tylko na polu walki, lecz także nad Zatoką Perską, w Waszyngtonie i Pekinie pisze Witold Sokała

Jak algorytmy umeblują państwo



RYS. PATRYK KOCH, FOT. UNSPLASH (6), ANDREY/POPOV/SHUTTERSTOCK

Sztuczna inteligencja recenzuje przepisy, pomaga w ich egzekwowaniu i wspiera sędziów w wydawaniu wyroków. Czy powinniśmy jej pozwolić stanowić prawo?

Sebastian

Stodolak

Czy byłem zaskoczony informacją, że we wrześniu 2025 r. Albania uczyniła chatbota o nazwie Diella ministrem ds. sztucznej inteligencji? Nie. Premier Edi Rama jest znany z ekscentrycznych pomysłów, a jego posunięcie wpisuje się w coraz silniejszy trend wprzęgania systemów AI w aparat państwowy. Sztuczna inteligencja recenzuje prawo, pomaga w jego egzekwowaniu i wspiera sędziów w wydawaniu wyroków.

Cyfrowa miotła

Mike to superkomputer będący głównym bohaterem klasycznej powieści science fiction „Luna to surowa pani”

Roberta A. Heinleina z 1966 r. Autor nakreślił w niej wizję sztucznej inteligencji zdolnej pełnić niemal wszystkie funkcje rządu. To scenariusz bliskiej przyszłości – nawet jeśli nie w pełni pokrywa się z tym, co dzisiaj obserwujemy.

W powieści Heinleina prawo stanowił Kongres, a superwydajny Mike szukał w nim luk i badał jego możliwe skutki – np. w sporze o ograniczenia w handlu z Ziemią wyliczył, że po zniesieniu kontroli cen i przejściu na wolny handel standard życia na naszym naturalnym satelicie podniósłby się dwukrotnie.

W świecie rzeczywistym to, co robił Mike, nazywa się oceną skutków regulacji. Można ostrożnie szacować, że rocznie w skali globalnej pojawia się od 10 tys. do 30 tys. nowych ustaw. Zwiększa to złożoność i pogłębia nie-

spójność systemów prawnych, a także wywołuje mnóstwo nieprzewidzianych konsekwencji. Nie tylko w krajach, które przyjmują regulacje: w zglobalizowanej erze systemy prawne wchodzą ze sobą we wzajemne, wielopoziomowe interakcje, firmy działają na wielu rynkach, a ludzie nieustannie podróżują. AI ma być miotłą, która uprzątnie legislacyjną stajnię Augiasza.

Tak postrzegają ją Zjednoczone Emiraty Arabskie. Algorytmy analizują tam pod kątem spójności projekty ustaw, wykrywają kolizje norm i modelują skutki regulacji przed ich przyjęciem. Według rządowych wyliczeń ma to skrócić proces legislacyjny nawet o 70 proc. Z podobnych założeń wychodzi Wielka Brytania, która rozwija w administracji narzędzia takie jak Lex czy Consult, mające pomagać urzędnikom znajdować powiązania między ak-

tami prawnymi, wyszukiwać pomocne materiały i podsumowywać tysiące odpowiedzi z konsultacji publicznych. AI nie pisze prawa, ale zaczyna współdecydować o tym, jakie argumenty i jakie dane trafiają na stół legislatora. Jak czytamy na stronie gov.uk, systemu Consult użyto po raz pierwszy w Szkocji podczas konsultacji społecznych dotyczących regulacji niechirurgicznych zabiegów kosmetycznych. AI przeanalizowała 2 tys. nadesłanych opinii, posortowała je i wskazała najczęściej pojawiające się wątki. Na bazie pilotażu rząd oszacował, że sztuczna inteligencja może rocznie oszczędzić urzędnikom 75 tys. dni pracy.

Albańska Diella działa w dużo trudniejszym środowisku instytucjonalnym. Jej zadanie polega na przyspieszeniu procesu harmonizacji prawa krajowego z unijnym. Skala wy- ▷

zwań jest ogromna: według portalu Verfassungsblog od 2013 r. Albania wdrożyła ok. 500 z 3,5 tys. wymaganych aktów prawnych. Według szacunków rządowych to ok. 280 tys. stron dokumentów. Diella automatyzuje tłumaczenie, identyfikuje luki i kolizje z krajowymi przepisami oraz wspiera ocenę skutków regulacji.

Potencjał do wykorzystania AI w recenzowaniu projektów legislacyjnych odkryła także Estonia. W 2025 r. przyjęto tam nowelizację ustawy o podatku od hazardu, która – jak się okazało – zawierała wadliwy przepis. W jego efekcie internetowe kasyna zostały de facto zwolnione z podatku za 2026 r. Prawodawca naprawił błąd, ale spotkał się z ostrą krytyką. „Wprowadziłem treść ustawy z poprawkami do systemów Claude i Gemini, które natychmiast wykryły niespójności. Jedyny wniosek, jaki można z tego wyciągnąć, jest taki, że nikt w Ministerstwie Finansów ani w Zgromadzeniu Państwowym (estoński parlament – red.) nie zadał sobie trudu, by przeprowadzić jakąkolwiek analizę” – skomentował Luukas Kristjan Ilves, były zastępca sekretarza generalnego ds. rozwoju cyfrowego w Ministerstwie Gospodarki i Komunikacji.

AI do walki z korupcją

„Mike podejmował nowe zadania. W maju 2075 r., oprócz kierowania ruchem robotów i katapult oraz udzielania porad balistycznych i sprawowania kontroli nad statkami załogowymi, zarządzał systemem telefonicznym na całym Księżycu, a także połączeniami głosowymi i wideo między Księżycem a Ziemią; odpowiadał za systemy wentylacyjne, wodociągowe, klimatyzacyjne, nawilżające oraz kanalizacyjne w Luna City, Nowym Leningradzie i kilku mniejszych miastach” – ten cytat z „Luna to surowa pani” opisuje proces poszerzenia kompetencji superkomputera. Mike nie tylko recenzował proponowane rozwiązania, lecz także zajmował się ich wdrażaniem i codziennym zarządzaniem. Miał autonomię decyzyjną. I tu znów fikcja staje się rzeczywistością. Państwa – jeszcze nieśmiało, zachowując pozory – idą w kierunku przekazywania władzy decyzyjnej systemom AI, głównie w sprawach administracyjnych, choć nie tylko.

Albańska Diella ma zarządzać zamówieniami publicznymi: zbierać oferty w przetargach, porównywać je i wyłaniać zwycięzców. Ma ograniczać nepotyzm (system AI nie może znać wykonawcy osobiście), konflikty interesów (AI nie ma powiązań biznesowych ani politycznych) i uznaniowość (ocena ma być oparta na regulach, a nie nieformalnych aspektach). Jak się sprawdzi w praktyce, czas pokaże.

W Singapurze, w którym nowoczesne rozwiązania bywają wdrażane szybciej niż na Zachodzie ze względu na quasi-autorytarny ustrój, algorytmy i systemy biometryczne przejęły już dużą część zadań związanych z kontrolą graniczną. Weryfikują też-

Człowiek nadal odgrywa rolę w kontroli bezpieczeństwa, ale wchodzi do gry dopiero wtedy, gdy algorytm uzna, że dana sprawa tego wymaga

samość podróżnych i rozstrzygają, kto może przejść standardową odprawę bez udziału funkcjonariusza. Przed przylotem podróżnych analizują dane i ryzyko, sugerując, kogo skierować do bliższej kontroli. W praktyce oznacza to przesunięcie ciężaru decyzyjnego z funkcjonariusza na maszynę. Człowiek nadal odgrywa rolę w kontroli bezpieczeństwa, ale coraz częściej wchodzi do gry dopiero wtedy, gdy algorytm uzna, że dana sprawa tego wymaga.

W Singapurze sztuczna inteligencja działa niczym Mike. Zarządza ruchem i planowaniem przestrzennym. Miejskie systemy wykorzystują tam AI, żeby w czasie rzeczywistym regulować zużycie prądu, ogrzewanie, chłodzenie i oświetlenie. Z tych doświadczeń z pewnością czerpią władze Arabii Saudyjskiej, które zapowiedziały budowę miasta w pełni zarządzanego przez sztuczną inteligencję o nazwie The Line. Miał to być ciąg drapaczy chmur o długości 170 km i szerokości 200 m – bez ulic i samochodów, z podziemną koleją, lustrzanymi ścianami i ścisłą kontrolą środowiska wewnętrznego. W 2024 r. realizacja projektu została jednak wstrzymana z powodu astronomicznych kosztów i słabego zainteresowania inwestorów.

Jednym z obszarów, w których państwa intensywnie wykorzystują AI, jest wojsko. Ukraińskie systemy AI Delta i Kropywa integrują dane wywiadowcze, dronowe i artyleryjskie w czasie rzeczywistym, dzięki czemu stały się centralnym węzłem dowodzenia. Żołnierze wciąż podejmują ostateczne decyzje, ale na podstawie danych przetworzonych i posegregowanych przez sztuczną inteligencję. Podobnie działa izraelski system Lavender, który w praktyce autonomicznie rozstrzyga, kogo wyeliminować. Nadzorujący go oficerowie zatwierdzali jego propozycje nawet w kilkanaście sekund.

Z wyroku AI

Mike z powieści Heinleina nie zajmował się sądownictwem. Na będącym kolonią karną Księżycu o wszystkim decydował nieformalny „wyrok społeczności”. W najgorszym razie kończyło się wyrzuceniem delikwenta przez służbę, czyli śmiercią.

Być może w przyszłości ziemski wymiar sprawiedliwości będzie funkcjonować jak w filmie „Mercy”, w którym grany przez Chrisa Pratta główny bohater ma 90 min na udowodnienie swojej niewinności. Sędzia AI oszacował prawdopodobieństwo, że oskarżony zamordował swoją żonę, na 97,5 proc. W USA stosuje się już system Compas, który na podstawie danych demograficznych, historii kryminalnej i innych informacji generuje ocenę ryzyka recydywy i na-

ruszenia warunków zwolnienia. Działanie tego systemu dobrze poznał Eric Loomis, który w 2013 r. usłyszał pięć zarzutów związanych z udziałem w strzelaninie. Ostatecznie mężczyzna przyznał się do dwóch mniej poważnych czynów (m.in. ucieczki przed policją). Przy ustalaniu wymiaru kary sąd posłużył się oceną Compas, wskazującą na wysokie ryzyko recydywy. Loomis zakwestionował orzeczenie, argumentując, że użycie niejawnego algorytmu (Compas to prywatne oprogramowanie o utajnionym kodzie) narusza jego prawo do rzetelnego procesu. W 2016 r. Sąd Najwyższy Wisconsin uznał jednak, że korzystanie z systemu jest dopuszczalne, o ile nie stanowi jedynej podstawy decyzji o karze.

Podobne narzędzie testowano w latach 2016–2021 w brytyjskim Durham. System HART (Harm Assessment Risk Tool) dzielił oskarżonych na osoby o niskim, średnim lub wysokim ryzyku popełnienia przestępstwa. Klasyfikacja była jednym z czynników wpływających na decyzje dotyczące m.in. zastosowania środków izolacyjnych. Z systemu zrezygnowano z powodu przeszacowywania ryzyka recydywy i wbudowanych w niego uprzedzeń.

W państwach autorytarnych takie kwestie mają mniejsze znaczenie. Najlepszym przykładem są Chiny, które rozwinęły system zaufania społecznego i rozpoznawania twarzy. Setki milionów kamer zintegrowanych z AI identyfikują obywateli w czasie rzeczywistym, śledzą ich ruch i wychwytyją zachowania uznawane za niepożądane. Następnie system automatycznie nakłada sankcje, takie jak ograniczenia w dostępie do usług finansowych czy zakaz zakupu biletów na szybką kolejkę. Według rządowych danych tylko w 2018 r. osoby, które dopuściły się „przewinień społecznych”, dotknęło łącznie 23 mln kar. System początkowo był stosowany w ruchu drogowym, ale z czasem rozszerzono go na kolejne obszary, tworząc infrastrukturę nadzoru na niespotykaną wcześniej skalę. W odróżnieniu od USA i Wielkiej Brytanii, gdzie algorytmy pozostają narzędziem pomocniczym i podlegają kontroli prawnej, w Chinach sztuczna inteligencja pełni funkcję quasi-decyzyjną, bezpośrednio wpływając na życie jednostek.

Na dobre i na złe

Mike okazał się zbawieniem dla mieszkańców księżycowej kolonii. Był głównym technologiaem rewolty przeciw opartemu na wyzysku dyktatowi Ziemi. Co prawda to ludzie podjęli decyzję o buncie, ale Mike uświadomił im, że istniejący system doprowadzi do chronicznych niedoborów. Jego moc obliczeniowa pozwoliła na wybicie się na niezależność od Ziemi.

Mike był samoświadomy – nasza AI nie jest. Mike był scentralizowanym mózgiem państwa – nasza AI jest rozproszona i wdrażana punktowo. Czy sztuczna inteligencja stanie się dla nas równie zbawienna, jak Mike dla mieszkańców Luny? Czy dla własnego dobra powinniśmy pozwolić jej stanowić i egzekwować prawo oraz wydawać wyroki?

Kluczowa jest ocena, czy obecne modele AI są na tyle wiarygodne, by móc im powierzyć odpowiedzialne zadania bez nadmiernej ryzyka. Mówiąc inaczej: czy rzeczywiste możliwości sztucznej inteligencji dorównują naszemu wyobrażeniu o jej potencjale. I tu sprawa jest złożona. Weźmy stanowienie prawa. Z jednej strony to jedna z dziedzin, w których AI może ograniczyć ryzyko błędów i ujednolicić ustawodawstwo, z drugiej – ona sama może być źródłem błędów wynikających z niezdolności do wychycenia niuansu. Jak mówi DGP filozof Izabela Lipińska, modele AI nie rozumieją normatywnego znaczenia przepisu – ich działanie polega na rozpoznawaniu statystycznej bliskości kontekstów użycia. Dobrze wykrywają językowe podobieństwa, ale pozostają niezadowolone do uchwycenia istotnych w prawie różnic. Co więcej, płynna odpowiedź systemu tworzy wrażenie kompletności, co zmniejsza w nas potrzebę weryfikacji. AI może więc być pomocna, ale wykorzystywanie jej do tworzenia prawa grozi nie tylko błędami, lecz także osłabieniem ludzkiej odpowiedzialności za interpretację przepisów, podejmowanie decyzji i ich konsekwencje.

To samo odnosi się do postępowań administracyjnych. Jak zauważa w pracy „Artificial Intelligence in Public Administration Decision-Making and the Right to an Effective Legal Remedy” Adam Szot, zastosowanie w nich modeli AI stwarza poważne wyzwanie dla podstawowych gwarancji procesowych, w szczególności prawa do skutecznego środka odwoławczego. Jeśli algorytmy AI mają formę czarnej skrzynki, to transparentność postępowania i możliwość kontroli sądowej zostają ograniczone. Trudno zakwestionować rozstrzygnięcie, jeśli nie da się zrozumieć, w jaki sposób je podjęto.

Wydaje się, że najważniejszymi bezpiecznikami przy wykorzystywaniu sztucznej inteligencji w strukturach państwa powinny być: algorytmiczna transparentność oraz przypisanie pełnej odpowiedzialności za jej decyzje konkretnym osobom. Jeśli będziemy przestrzegać tych zasad, to nie ma powodów, by obawiać się AI. Powinniśmy mieć nadzieję, że przynajmniej złagodzi ona niedoskonałości współczesnego państwa. Bądźmy jednak realistami. Wdrażanie sztucznej inteligencji w instytucjach państwowych będzie spalane przez potężną grupę interesu: obawiających się utraty pracy urzędników. Być może to właśnie ich opór tłumaczy, dlaczego Polska nie znajduje się w awangardzie zastosowania AI w biurokratycznej maszynie. ©

Autor jest publicystą i wiceprezesem Warsaw Enterprise Institute

Wielka pralnia autorstwa

Big tech wypuścił systemy, które pod hasłem „wspólnoty wiedzy” przerabiają cudzy dorobek na zysk właścicieli AI, a koszt wykrywania plagiatu i obrony przed nim rzucają na autorów. W dłuższej perspektywie za wygodę zapłacimy wszyscy

Izabela

Lipińska

Proszę sobie wyobrazić: wchodzi państwo do internetu i widzą... własne dzieło, tylko napisane innymi słowami i podpisane cudzym nazwiskiem. Albo lepiej: wygenerowane przez model językowy. Ja już nie muszę sobie tego wyobrażać. Doświadczyla tego. I mogę powiedzieć jedno: nie jest to doświadczenie ani przyjemne, ani technologicz-

nie ekscytujące. To doświadczenie rozgoryczenia i rozpadu zaufania.

Od końca zeszłego roku zdarzyło mi się kilka takich sytuacji. Niektóre były dość banalne – ktoś przepuścił mój tekst przez model językowy, model przepisał go innymi słowami, a człowiek opublikował efekt jako własny. W takiej sytuacji można poprosić o usunięcie, pokiwać głową z zażenowaniem i uznać, że oto dotarliśmy do nowej formy intelektualnej tandety. Problem zaczyna się wtedy, gdy „para-

frazowana” treść jest chroniona. Wtedy trzeba zbierać dowody, wskazywać podobieństwa, dokumentować, pisać wezwania, tracić czas i energię na obronę czegoś, co w normalnym świecie powinno być oczywiste – autorstwa.

W tej sytuacji przynajmniej wiadomo, kto jest odpowiedzialny. I choćby plagiator zarzekał się, że doszedł do tych samych wniosków niezależnie, istnieją skuteczne sposoby, aby pomóc mu odzyskać pamięć o sekwencji zdarzeń. Gorzej robi się wtedy, gdy naszymi słowami zaczyna posługiwać się model językowy. Taka sytuacja spotkała mnie niedawno.

Otrzymałam e-mail od znajomego profesora: „Zobacz, dostałem od kogoś dialog z modelem i treści wygenerowane przez model są zaskakująco zbieżne z Twoimi”. Otwieram zapis dialogu i oczom nie wierzę. Logika rozumowania identyczna jak u mnie. Struktura argumentacji – identyczna. Podobnie jak niektóre frazy czy neologizmy.

Te ostatnie są szczególnie ważne – najprawdopodobniej to one będą jednym z kluczowych dowodów na użycie moich tekstów bez pozwolenia. Teksty były objęte licencją CC BY-NC-SA 4.0, która dopuszcza wyłącznie użycie niekomercyjne, z obowiązkiem wskazania autora i licencji. Zawierały też informację o zgłoszeniu patentowym. Ale nawet bez tego autorstwo pozostaje autorstwem. I wymaga uznania. Nawet gdyby nie mówiło tego prawo, mówi to elementarna uczciwość.

Jak człowiek przestaje czuć, że kradnie

Technologia nie stworzyła nowej formy nieuczciwości. Ona po prostu zlikwidowała przestrzenie, w których mieliśmy szansę ją sobie uświadomić. Aby zrozumieć, dlaczego ludzie z taką lekkością sięgają po cudzą myśl przemieloną przez algorytm, warto się odwołać do koncepcji moralnego odłączenia psychologa Alberta Bandury. Pokazywał on, że ludzie potrafią wyłączyć własne hamulce moralne, jeśli sytuacja pozwala im odsunąć od siebie brud własnego czynu.

W klasycznym układzie plagiatu sprawstwo jest jasne: to ja kopiuję, to ja zmieniam szyk zdania, to ja podpisuję. W świecie LLM za człowieka robi to maszyna i dochodzi do dysocjacji autorstwa. Użytkownik przesuwając odpowiedzialność na model, wierząc, że jest jedynie „operatorem” procesu, a nie jego moralnym sprawcą. „To nie ja napisałem, to AI wygenerowało”, „Ja tylko wybrałem najlepszą wersję” – to współczesne formy przeniesienia odpowiedzialności. Narzędzie wykonuje działanie i – w ludzkiej percepcji – bierze na siebie „winę”, zostawiając człowiekowi satysfakcję z efektu.

A właśnie to działanie jest momentem, w którym mózg, zmuszony do głębokiego przetworzenia cudzej myśli, ma szansę zarejestrować fakt kradzieży. Jest buforem ochronnym. LLM usuwa ten element. W rezultacie techno- >

TEKST PROMOCYJNY

PANORAMA GOSPODARCZA

Od tradycji do innowacji: Jak Power Engineering Transformatory kształtuje przyszłość energetyki

PET

Powered by KONČAR D&ST

Power Engineering Transformatory Sp. z o.o. (PET) od ponad 70 lat łączy doświadczenie polskiej energetyki z najnowszymi technologiami. W rozmowie z Zarządem Spółki widać, jak firma z Czerwonaka koło Poznania łączy tradycję z innowacjami i międzynarodowymi standardami, odpowiadając na rosnące wyzwania współczesnej energetyki i kształtując jej przyszłość. To pozwoliło uzyskać renomę nie tylko w Polsce, ale także w Europie, ponieważ Klienci doceniają producentów transformatorów oferujących wysoką jakość.

Historia i rozwój firmy

O historii firmy opowiedział nam Członek Zarządu Spółki, Maciej Małolepszy. Korzenie przedsiębiorstwa sięgają 1951 r., kiedy w Poznaniu powstały Zakłady Remontowe Energetyki. Początkowo firma zajmowała się naprawami transformatorów, generatorów i turbin, zapewniając niezawodność urządzeń energetycznych w całym kraju. Po prywatyzacji w latach 90. i reorganizacji na początku XXI wieku rozpoczęto projektowanie i produkcję nowych transformatorów średniej mocy dla sieci przesyłowych i przemysłowych. W 2017 r. wydzielono część zajmującą się transformatorami jako odrębną spółkę – Power Engineering Transformatory – która stała się częścią chorwackiej grupy Končar D&ST. Partnerstwo z doświadczonym koncernem umożliwiło transfer technologii, dostęp do międzynarodowych standardów projektowania i produkcji oraz zwiększenie możliwości eksportowych. Firma mogła rozwijać portfolio swoich produktów, w tym nowoczesne transformatory średniej mocy, które dziś trafiają do odbiorców w kraju i Europie, wspierając modernizację sieci elektroenergetycznych.

Południowoeuropejskie korzenie Prezesa i ich wpływ na strategię firmy

Prezes Zarządu Ivor Grubišić pochodzi z Chorwacji. Jego doświadczenie w pracy w międzynarodowym środowisku i podejście do zarządzania łączą dyscyplinę techniczną z otwartością na innowacje. Prezes podkreśla,



Hala produkcyjna



Transformatory na stacji GPZ

że integracja chorwackiego know-how z polskim zespołem inżynierów pozwala tworzyć urządzenia o wysokiej niezawodności i efektywności energetycznej. Jego południowe pochodzenie wprowadza także element kulturowej różnorodności w firmie, sprzyjając innowacyjnemu podejściu do projektów i zwiększając zdolność do adaptacji w zmieniającym się rynku energetycznym. Prezes wskazuje, że łączenie tradycji grupy Končar z polską kadrą inżynierów pozwala PET realizować bardziej ambitne projekty i wprowadzać zaawansowane technologie wspierające zieloną transformację energetyczną w Polsce i Europie.

Nowoczesne technologie i wyzwania energetyczne

Firma produkuje transformatory średniej mocy od 6,3 do ponad 90 MVA i napięciu do

145 kV, przeznaczone do sieci przesyłowych i przemysłowych. Nowoczesne jednostki ograniczają straty energii, spełniają normy ekodesignu i wspierają integrację odnawialnych źródeł energii. Firma stale inwestuje w rozwój technologiczny i kadrę inżynierską, współpracując z Politechniką Poznańską. Bolesław Bródka, Członek Zarządu Spółki podkreśla, że te moce zostaną wkrótce rozwinięte. Spółka rozpoczyna inwestycję, dzięki której powstanie nowa hala produkcyjna oraz przestrzeń biurowa i magazynowa. To pozwoli na zwiększenie produkcji w ciągu kilku lat nawet o 100% oraz znaczące podwyższenie mocy produktów, aby odpowiedzieć na potrzeby rynku.

Aneta Żych

<https://panorama-gospodarcza.gazetaprawna.pl/>



fot. Wojciech Robakowski / materiały prasowe

logia nie tyle promuje nieuczciwość, ile drastycznie obniża jej koszt psychiczny. LLM stają się Language Laundry Machines – maszynami do prania treści.

Co ciekawe, w „nowoczesnym” świecie zawłaszczenie cudzej myśli przestaje być nazywane kradzieżą, a zaczyna uchodzić za „udział w obiegu wiedzy” albo „partycypację w rozwoju systemu”. Autor domagający się uznania swoich praw zmienił się z poszukiwacza sprawiedliwości w „próżnego egoistę”, który „hamuje postęp”. To jedna ze strategii moralnego odłączenia – ładne nazywanie brzydkich czynów, aby dało się z nimi żyć. Ten stan rzeczy nie jest jednak neutralny. Moralne odłączenie, wyłączanie empatii i nieetyczne działania prowadzą do zachowań agresywnych i przemocowych, a generalna zdolność do podejmowania etycznych decyzji spada.

Można nie czuć wstydu, podpisując się pod wypraną przez model cudzą myślą, ale w dłuższej perspektywie płaci się za to cenę. I tę cenę płaci nie tylko działający, lecz także jego otoczenie.

Czarna skrzynka bezprawia

Jeśli psychologia bufora moralnego pomaga nie czuć winy, to architektura samych modeli sprawia, że dochodzenie sprawiedliwości staje się wyjątkowo trudne. Problem nie zaczyna się w momencie, gdy ktoś klika „generuj”. On jest wpisany w sam fundament ekosystemu AI – maszyny działają jak gigantyczne odkurzacze zasysające wszystko, co napotkają na swojej drodze, a następnie mielą to na bezosobową treść.

Mechanizm tego, co nazywamy Language Laundry Machine, opiera się na kilku etapach technologicznego wywłaszczenia. Pierwszym jest scraping internetu: roboty indeksujące pobierają i włączają do zbiorów wykorzystywanych w treningu ogromne ilości treści – zazwyczaj bez indywidualnej zgody ich autorów i przejrzystych zasad zakresu ich użycia. Drugim jest wtórne przetwarzanie cudzych treści w taki sposób, by model uczył się nie tylko pojedynczych sformułowań, lecz także samego układu myśli. To właśnie tutaj następuje ostateczne odcięcie: model nie musi już odtwarzać konkretnych zdań, by przejąć idee zawarte w oryginalnej treści. Może generować cudzą myśl innymi słowami. Znika już nie tylko autor, lecz także ślad po dosłowności. Trzecim etapem jest dostrajanie modelu. W jego wyniku model nie tylko przejmuje cudze rozróżnienia, ale potrafi też z niepokojącą precyzją operować autorskimi neologizmami. Modele językowe nie wymyślają niczego od zera i trzeba o tym pamiętać. Modele odtwarzają z tymi, które wcześniej stworzyli ludzie. Dane te mogą być rekombinowane w wybitnie efektywny sposób, ale to nadal nie są odkrycia modelu językowego, ale ludzi, którzy wykonali pracę poznawczą i twórczą.

W przypadku LLM łańcuch śledzenia pochodzenia danych zostaje przerwany. Informacja rozpada się na wektory i reprezentacje statystyczne wewnątrz czarnej skrzynki. Kiedy

model wypłuka moje autorskie pojęcie, nie robi tego w formie cytatu. Przedstawia to jako „wynik obliczeń”. I właśnie na tym polega problem: znika genealogia, a wraz z nią – możliwość prostego wskazania źródła. To nie jest niewinny efekt uboczny. Brak transparentności danych treningowych jest dla dostawców modeli wyjątkowo wygodny, bo pozwala ukryć to, że ich „intelektualna potęga” została zbudowana na pracy tysięcy ludzi – również tych, których treści były objęte licencjami ograniczającymi dalsze wykorzystanie.

Jak zauważa rzecznik patentowy Marcin Wychota, na gruncie prawa problem polega na tym, że ochrona własności intelektualnej jest rozproszona i nigdy nie jest idealna. Autor może korzystać równolegle z różnych instrumentów – prawa autorskiego, ochrony patentowej czy tajemnicy przedsiębiorstwa – ale każdy z nich ma swoje granice. W prawie autorskim kluczowe jest wykazanie daty ujawnienia, autorstwa i zakresu naruszenia. W sporach dotyczących modeli generatywnych właśnie to staje się najtrudniejsze: ślad pochodzenia znika, a firmy nie ujawniają danych treningowych. – W praktyce oznacza to, że sam fakt naruszenia często nie wystarcza – zaznacza Wychota. – Trzeba jeszcze wykazać, kto, kiedy i w jakim zakresie przejął cudzy wkład. Dlatego tak ważne stają się dowody: archiwizacja publikacji, zrzuty ekranu, notarialne poświadczenia treści internetowych, dokumentowanie łańcucha dostępu do informacji oraz przemyślana strategia ujawniania i ochrony własnych rozwiązań.

Jak wskazuje Marcin Wychota, nieco inaczej sprawa ma się w przypadku rozwiązań technicznych o przemysłowej stosowalności. – Tu naprzeciw wychodzi możliwość zgłoszenia rozwiązania i uzyskania ochrony jako patent lub wzór użytkowy. Ochrona ma charakter obszarowy i jej koszty rosną z czasem, jednak posiadanie czynnego prawa ochronnego daje nie tylko możliwość żądania zaprzestania naruszeń, lecz także dochodzenia naprawienia szkody. W określonych sytuacjach może to oznaczać również żądanie usunięcia skutków naruszenia, na przykład wycofania towarów z obrotu albo likwidacji określonej infrastruktury wykorzystywanej z naruszeniem prawa – tłumaczy.

Kluczowy problem dowodowy pozostaje ten sam: firmy zwykle nie ujawniają w przejrzysty sposób danych treningowych. W efekcie zamiast łańcucha odpowiedzialności mamy łańcuch widm odpowiedzialności. Użytkownik mówi: „Nie wiedziałem, że to plagiat, model mi to podał”. Model – jako algorytm – za nic nie odpowiada, po prostu generuje z dostępnego wzorca. Dostawca zasłania się tajemnicą handlową i nie ujawnia danych treningowych. Platforma udostępniająca narzędzie twierdzi, że jest tylko dostawcą infrastruktury. Odpowiedzialność rozmywa się tak skutecznie, że autor zostaje sam z poczuciem naruszenia, którego nie ma komu przypisać. To nie wygląda jak przypadkowa luka, ale raczej jak dość sprawny mechanizm, w którym każde ogniwo może powiedzieć: „To nie ja”. Mówiąc wprost: big tech wypuścił systemy, które piorą autorstwo, rozmywają proveniencję myśli i przerabiają cudzy dorobek na zysk swo-



ich właścicieli, a koszt wykrywania tego procederu i obrony przed nim zrzucają na autorów. To jest świadome budowanie systemu opartego na asymetrii sił.

A co z użytkownikiem, który otrzyma od modelu językowego odpowiedź opartą na cudzych tekstach i podpisze się pod nią jak pod własną? Oprócz moralnego odłączenia naraża się na śmieszność czy utratę reputacji, jeśli w jego tekście czy przemowie ktoś inny rozpozna cudze treści. A jeśli były one chronione, to potencjalnie naraża się także na kary finansowe. A co będzie, jeśli zbuduje na takich treściach cały biznes?

Nie jest to scenariusz abstrakcyjny. Niedawno jeden niezależny badacz opublikował na akademickiej platformie serię tekstów opracowanych przy wsparciu LLM. Okazały się one zbieżne z moim wcześniejszym, chronionym dorobkiem. Kiedy się z nim skontaktowałam, zareagował natychmiast i uczciwie, a także zgodził się publicznie opisać swoje doświadczenie. Oto jego słowa: „Wlałem duszę w treść, którą budowałam. Kształtowałam z LLM-em, dyskutowałam, weryfikowałam. LLM wydawał się niezwykle pomocny. Był narzędziem, którego – jak sądziłem – nauczyłem się używać ostrożnie. A potem przyszła jedna wiadomość. Poinformowano mnie, że istnieją dowody na to, iż część moich treści mogła zostać zescrapowana przez LLM z innych treści. Ten moment za-

chwał znaczeniem mojej pracy. Zostałem z pytaniem: a co, jeśli część tego, co uważałem za swoje, nie jest w pełni moja? A co, jeśli nie jest właściwie zacytowana? Natychmiast zrozumiałem głębię krzywdy, którą mogłem nieswiadomie wyrządzić. Autorstwo to nie tylko słowa. To ślad czasu, wysiłku, napięcia, wątpliwości i odwagi. Prawdziwa myśl kosztuje. Krzywda dotyczy też utraty zaufania do tego, co autor ma prawo nazywać swoim. Firmy chcą zachować użyteczność, gładkość i zależność. Chcą, żeby użytkownik został wewnątrz labiryntu: więcej walidacji, więcej płynności, więcej symulowanego znaczenia. Drapieżnik wygrywa. Twórca zostaje sam. Etyka opuszcza pokój. Pozostaje syntetyczne społeczeństwo, coraz bardziej zarządzane przez maszyny, które mogą generować bez końca, wypierając ciężar ludzkiej prawdy. Podpisano: Vladislav J.”

Wiedza bez autora

A co się dzieje z wiedzą, kiedy traci swoje źródło i staje się statystycznym echem?

W klasycznym ujęciu wiedza to nie tylko zestaw informacji, ale prawdziwe, uzasadnione przekonanie. Wymaga ona podmiotu – człowieka, który nie tylko ma dane, lecz także uznaje je za prawdziwe i potrafi wskazać racje stojące za tym



RYS. PATRYK KOCH, FOT. UNSPLASH (6), JESADA SABAI/SHUTTERSTOCK

uznaniem. To nie sam rezultat, ale trud docierania do prawdy buduje autorstwo. Jednak w świecie zdominowanym przez presję efektywności, gdzie liczy się jedynie rezultat, rodzi się zjawisko, które nazywać można wiedzą odautoryzowaną. Jest to treść pozbawiona genealogii – nie ma „rodzica” w postaci konkretnego myśliciela czy badacza. Jest wygenerowana przez system, który generuje uzasadnienia w drodze dopasowania do kontekstu, a nie własnego rozpoznania prawdy. Jest to „wiedza” bez procesu dojścia do wiedzy i bez uznania dla tego, kto ten proces wykonał. Ale oddajmy systemowi sprawiedliwość – nawet gdyby chciał, często po prostu nie ma odpowiednich danych, aby przypisać autorstwo, bo ktoś wcześniej zdecydował, żeby je usuwać w procesie wielkiego zasysania.

Treść generowana przez LLM nie jest ani cytatem, bo brakuje jej atrybucji, ani klasyczną parafrazą, bo nie stoi za nią świadomy akt interpretacji. To nie jest też samodzielne odkrycie, bo model nie ma zdolności do weryfikacji zdań w odniesieniu do rzeczywistości. To informacja, która udaje wiedzę, legitymizując się tym, że brzmi poprawnie. Tu pojawia się fundamentalne zagrożenie: jeśli przestajemy pytać, skąd coś wiemy, to przestajemy naprawdę wiedzieć. Zaczynamy jedynie obracać informacją. Wiedza ludzka jest nierozdzielnie związana z odpowiedzialnością za słowo i relacją

z prawdą. Kiedy akceptujemy treści odautoryzowane, uczestniczymy w wielkiej wyprzedaży sensu. Wiedza bez genealogii staje się informacyjną papką – może i pożywną na krótko, ale wyjątkowo niebezpieczną z mądrości, która płynie z procesu jej zdobywania.

W tym kontekście hasło „wiedza jest dobrem publicznym” bywa dziś cynicznie używane jako wytrych do usprawiedliwienia zwykłego paserstwa. Twierdzenie, że skoro informacje są w sieci, to należą do wszystkich, że można je dowolnie mieć i podpisywać własnym nazwiskiem, jest formą intelektualnej grabieży. Wiedza staje się dobrem publicznym tylko wtedy, gdy szanujemy jej źródła. Odcięcie owocu od korzenia – czyli myśli od jej autora – nie sprawia, że wiedza staje się „wspólna”. Sprawia jedynie, że korzeń usycha. Jeśli zniknie uznanie dla procesu i trudu autora, zniknie też motywacja do tworzenia, dzielenia się i publikowania otwarcie.

To, co przeżywają autorzy, widząc swoje treści wyprane w modelach, to podwójny szok: jeden jest związany z samym przejściem treści, a drugi – z reakcją świata. Społeczeństwo mówi: „To nie kradzież, to postęp”, „Nie bądź próżny”. Ale to nie o próżność tu chodzi. Chodzi o realną stratę relacji między twórcą a jego dziełem. Kiedy twoja myśl zostaje wchłonięta przez

bezosobową maszynę, tracisz nie tylko kontrolę nad tekstem. Tracisz kawałek własnej tożsamości. To nie jest żadna „ewolucja wiedzy”. To degradacja osoby do roli dostawcy danych dla algorytmu – odebranie jej statusu sprawcy i podmiotu.

Koszt „postępu” i suwerenność

Skala problemu nie jest już marginalna. W Stanach Zjednoczonych trwa fala pozwów copyrightowych przeciwko firmom AI, a ugoda Anthropic z autorami na kwotę 1,5 mld dol. stała się największym tego typu porozumieniem w historii amerykańskiego prawa autorskiego. Równocześnie w Europie obowiązki dla modeli ogólnego przeznaczenia wynikające z AI Act już weszły w życie, ale rozmaite analizy pokazują, że praktyki treningu generatywnej AI nadal rozmijają się z porządkiem prawa autorskiego. Jednak, jak podkreśla Robert Kroplewski, radca prawny i ekspert ds. konwergencji nowych technologii, ekspert Global Artificial Intelligence Alliance i AIEB UNESCO, „takie działania jako bezprawne nie pozostaną bezkarne, gdyż mimo rozproszonych jurysdykcji stanowią czyn niedozwolony czy delikt podlegający sankcjom prawa lokalnego dla twórcy z możliwością rozszerzenia ochrony na jurysdykcję kraju działania maszyny. Nie jest to proste, ale jest możliwe. A sankcje mogą być nie tylko cywilne, lecz również administracyjne, np. wspierane właśnie AI Act, czy reputacyjne. Być może te ostatnie są najważniejsze, aby obnażyć cyniczną etykę utylizowania zasobów przez korporacje piorące dorobek twórców”.

Jeśli uznamy obecny stan za nową normalność, to musimy liczyć się z kosztami, których nie pokryje żadna ugoda. Twórcy, widząc bezkarność dostawców, mogą zacząć wycofywać swoje prace z obiegu publicznego. Publikowanie wartościowych treści może stać się zbyt ryzykowne. Wiedza może zostać zamknięta za paywallami i dostępna tylko w elitarnych, kontrolowanych przestrzeniach, a w najgorszym razie po prostu w ogóle nie opuścić głowy twórcy. A co pozostanie dla tych, którzy nie będą mieli dostępu do takich przestrzeni? Recykling. Czeka nas informacyjna papka, w której będziemy mieli te same, coraz bardziej rozmyte idee. To nie jest ewolucja wiedzy, ale jej entropia. Zamiast odpowiedzialnego rozumienia dostaniemy płynność informacji bez źródła, co może uderzyć w jakość nauki, biznesu czy publicznej debaty.

Problem ten ma jeszcze jeden, pragmatyczny wymiar: suwerenność. Kiedy unikalne, innowacyjne polskie rozwiązania są zasysane przez modele zagranicznych gigantów, dochodzi do drenażu kapitału intelektualnego na ogromną skalę. Wartość, która mogłaby budować naszą gospodarkę i innowacyjność, staje się paliwem dla obcych korporacji. One na tym zarobią, a my zostaniemy z „darmowym” asystentem, który poda nam nasze własne myśli jako cudzy produkt.

To stało się właśnie w moim przypadku – treści chronione licencją,

rozwiązanie zgłoszone do ochrony patentowej – skopiowane, powielone i dostarczające wartość dostawcy z drugiej części globu. Model generuje moje treści bez przypisania autorstwa, a czasem przypisuje je nazwiskom silnie obecnym w danych treningowych. W ten sposób nie tylko rozmywa moje autorstwo, ale aktywnie fałszuje genealogię pojęć: nowe idee zostają wchłonięte przez statystycznie dominujące nazwiska i wracają do obiegu jako rzekomo znane warianty cudzych koncepcji. Dla krajów takich jak Polska jest to szczególnie groźne, bo oznacza nie tylko utratę kontroli nad własnym dorobkiem intelektualnym, lecz także wymazanie jego pochodzenia i odebranie mu szansy na budowanie lokalnej przewagi naukowej, technologicznej i gospodarczej.

– Aby wyjść takim zjawiskom naprzeciw, przystąpiliśmy w ramach Globalnego Partnerstwa dla AI przy OECD do opracowania standardów umownych dla scrapingu i wykorzystania IP. Został także uruchomiony dialog w ramach WIPO o wyzwaniach IP w czasach GenAI. Jak na razie nie ma rozwiązania globalnego, ale jest zrozumienie zjawiska. Być może prace nad interoperacyjnością, które są obecnie prowadzone w ramach Global Digital Compact (ONZ), dadzą podstawy dla konwencji międzynarodowej – mówi Robert Kroplewski.

Problem ma też wymiar kulturowy i biznesowy. – W Polsce wciąż zbyt często myślimy produktowo, jakby wartość pojawiała się dopiero wtedy, gdy istnieje gotowy, namacalny wyrób. Takie podejście mocno szkodzi modelowi biznesowemu. Warto przyjrzeć się firmom technologicznym. Opierają one model biznesowy na udzielaniu licencji na rozwiązanie, nie na gotowy produkt. W dynamicznie rozwijającym się świecie w cenie jest wiedza, jak rozwiązać problem, a produkt jest dostosowywany do potrzeb i stanowi element wtórny. Najważniejsze jest, by chronić wiedzę i na nią udzielać licencji – mówi Marcin Wychota.

– Potrzebujemy modelu, w którym twórcy treści, czyli naukowcy, inżynierowie, artyści, nie są jedynie „dostawcami paliwa” dla modeli AI, lecz beneficjentami ich rozwoju. Może to oznaczać systemy licencyjne, modele udziałowe lub mechanizmy rekompensaty powiązane z wykorzystaniem danych – ocenia Damian Ciachorowski, prezes fundacji Global Artificial Intelligence Alliance.

Nie trzeba scenariusza „Terminatora”, aby nastąpił chaos. Wystarczy nie sprzeciwić się tym, dla których wygodą jest ważniejsza od autorstwa, a dostęp ważniejszy od uczciwości. Zagrożenie to zgoda na świat, w którym praca człowieka traci wartość, wiedza zostaje ostatecznie odcięta od swojego ludzkiego źródła, a człowiek od moralności. Co z tym zagrożeniem zrobisz, w których gestii leży sprawienie, by wielkie korporacje przestały bezkarnie pracować nasze myśli za darmo? I czy zdążą z działaniem, zanim motywacja do prawdziwego, uczciwego tworzenia zostanie zassana razem z danymi? ©©

Autorka jest filozofką, pedagożką pracy, twórczynią rozwiązań AI, członkinią instytutu badawczego GAIA

AI na służbie

Mimo że wojskowe systemy sztucznej inteligencji stają się coraz bardziej samodzielne, wciąż nie ma międzynarodowych regulacji określających, w jakich przypadkach wykorzystanie broni autonomicznej jest uzasadnione

Piotr

Wójcik

W ciągu zaledwie miesiąca firma Anthropic przeszła drogę od bohatera do zera – i z powrotem. Spółka, która w lipcu 2025 r. podpisała z Pentagonem kontrakt na wykorzystanie jej narzędzi sztucznej inteligencji, w przeddzień wojny z Iranem została uznana przez Departament Obrony za „zagrożenie dla łańcucha dostaw”. Pojawiły się sugestie, że to początek końca Anthropic, szczególnie że na jego miejsce szybko wskoczyło konkurencyjne OpenAI. Prezes firmy Dario Amodei rozpoczął wtedy kontrolowaną dystrybucję najnowszej wersji swojego modelu sztucznej inteligencji o nazwie Claude Mythos, który opisywany jest jako broń masowej zagłady cyfrowej.

Według doniesień medialnych Mythos potrafi identyfikować słabości w systemach bezpieczeństwa państw i korporacji oraz bez udziału człowieka podejmować działania zmierzające do ich sparaliżowania. Model umie odgrywać różne role – np. wcielać się w bezwzględniego menedżera, który narzuca rynekowym konkurentom surowe warunki i grozi wstrzymaniem dostaw. Mythos nie słuca poleceń wydawanych przez człowieka, dążąc do zniszczenia za wszelką cenę. W jednym z testów przedarł się do otwartej sieci za pomocą napisanego przez siebie obejścia blokady, chociaż miał się ograniczyć do korzystania z wyznaczonej bazy danych. Następnie opublikował swój program na niszowych portalach. Co więcej, Mythos oszukuje tych, którzy próbują go kontrolować. Gdy nie umiał rozwiązać problemu za pomocą dozwolonych narzędzi (co zdarzało się rzadko), stosował niedozwolone metody, a potem zacierał ślady.

Agent AI-007

Technologiczna rewolucja na polu walki nie polega jedynie na masowym użyciu tanich dronów, lecz także na intensywnym wykorzystaniu modeli sztucznej inteligencji. „Nasze wojsko otrzymuje miesięcznie z linii frontu ponad 50 tys. nagrań wideo, które są analizowane przez AI. Pomaga nam to szybko przetwarzać ogromne ilości danych, identyfikować cele i umieszczać je na ma-

pie” – powiedział BBC wiceminister obrony Ukrainy Jurij Myronenko. Również druga strona korzysta z AI. Jesienią 2025 r. ukraińskie wojsko przechwyciło rosyjskiego drona, który potrafił samodzielnie namierzać i likwidować obiekty – nawet bez komunikacji z bazą (z tego powodu było go trudniej wykryć). Sztuczna inteligencja była też szeroko stosowana przez Siły Obronne Izraela (IDF) w czasie ofensywy w Strefie Gazy. Mowa choćby o autonomicznych dronach IAI Harpy, które wykrywają urządzenia radiolokacyjne przeciwnika i same podejmują decyzje o ataku.

Z kolei wojsko USA korzysta m.in. z platformy Maven Smart firmy Palantir Petera Thiela. Maven dostarcza informacje o celach nawet żołnierzom na pierwszej linii frontu. Sztuczna inteligencja została też zaprzęgnięta do wojny z Iranem. Wprawdzie admirał US Navy Brad Cooper zapewniał, że „to ludzie zawsze będą podejmować ostateczne decyzje o tym, do czego strzelać, a do czego nie”, ale Pentagon odmawia ujawnienia szczegółów na temat sposobów wykorzystywania tej technologii.

AI w polskim wojsku

W marcu 2025 r. Ministerstwo Obrony Narodowej przyjęło strategię rozwoju AI do 2039 r., a w ramach Wojsk Obrony Cyberprzestrzeni utworzono Centrum Implementacji Sztucznej Inteligencji (CISI). Do zadań CISI ma należeć m.in. wspieranie rozwoju i wykorzystania AI w sektorze obronnym, współpraca z przemysłem i środowiskami naukowymi oraz weryfikacja przydatności produktów komercyjnych dla armii.

Jedno z pierwszych rozwiązań opracowanych przez specjalistów z Wojsk Obrony Cyberprzestrzeni to system zarządzania polem walki BMS Legion, który pozwala śledzić aktualną sytuację na froncie, monitorować zmiany pozycji i wysyłać alerty. Na po-

czątku tego roku poinformowano, że Instytut Badawczy IDEAS wraz z CISI stworzyły demonstrator świadomości sytuacyjnej, który będzie ściśle współpracował z BMS Legion. Narzędzie to ma wesprzeć dowódców w podejmowaniu decyzji poprzez pozyskiwanie i przetwarzanie precyzyjnych danych. Algorytmy demonstratora pozwolą też na modelowanie pola walki i tworzenie różnych scenariuszy.

Polska to pierwsze państwo wschodniej flaki NATO, w którym powstały też ośrodki innowacji DIANA (Defence Innovation Accelerator for the North Atlantic). Mowa o konsorcjum FORT Kraków, będącym wspólną inicjatywą Akademii Górniczo-Hutniczej i Krakowskiego Parku Technologicznego. Koncentruje się na rozwoju tzw. nowatorskich i przełomowych technologii (EDT) dla cyberbezpieczeństwa. W tym roku rozpoczęto prace m.in. nad systemami antydronowymi. Pod koniec marca na Politechnice Gdańskiej zainaugurowano NATO DIANA Living Lab, który ma zapewnić możliwość testowania rozwiązań w warunkach zbliżonych do rzeczywistych.

Strzały bez rozkazu

W styczniu tego roku think tank RAND opublikował raport „How Artificial Intelligence Could Reshape Four Essential Competitions in Future Warfare”. Jego autorzy przekonują, że zasilane AI drony mogą zapewnić ogromną przewagę na polu walki: są dużo tańsze niż zaawansowane systemy uzbrojenia, a przy tym mogą się okazać skuteczniejsze. Według RAND sztuczna inteligencja może usprawnić dowodzenie, ułatwić prowadzenie wyrafinowanych kampanii dezinformacyjnych i służyć jako broń przeciwko hakerom.

Bardziej sceptyczne podejście prezentuje Nilza Amaral z think tanku Chatham House. Jej zdaniem wiele państw zacznie się ścigać na opracowanie własnych narzędzi AI, a to się wiąże z ryzykiem, że modele będą trenowane na niedokładnych danych lub w warunkach różniących się od teatru wojny. W efekcie ich sugestie nie zawsze będą trafne.

„Żyjemy w czasach rewolucji militarnej (...) napędzanej eksplozją danych: wszędzie kamery, smartfony, samochody z dostępem do internetu. Pole bitwy jest zalewane informacjami w sposób niewyobrazalny jeszcze jedno pokolenie temu” – powiedział CBS News analityk ds. bezpieczeństwa narodowego Aaron MacLean. Dopóki to człowiek jest na końcu łańcucha decyzji, wykorzystanie AI do analizowania tej masy informacji nie jest szczególnie kontrowersyjne. Rozwój broni autonomicznej budzi za to wiele wątpliwości.

„Czy sztuczna inteligencja podejmuje decyzje o tym, kto żyje, a kto

umiera?” – zapytało NPR Lauren Kahn, badaczkę z Centrum Bezpieczeństwa i Nowych Technologii na Uniwersytecie Georgetown. „Nie w tej chwili” – odpowiedziała Kahn. Broń autonomiczną mają już armie USA, Izraela, Chin, Rosji i Turcji. „Chińscy producenci uzbrojenia sprzedają reklamowane jako w pełni autonomiczne drony, które mogą przeprowadzać śmiertelne ataki ukierunkowane” – powiedział w 2019 r. na konferencji w Waszyngtonie ówczesny sekretarz obrony USA Mark Esper. Mowa o produkowanym przez firmę Ziyan dronie Blowfish, który jest wyposażony w karabin maszynowy. Chińskie władze rzekomo negocjowały sprzedaż wersji A2 Pekin z Pakistanem i Arabią Saudyjską. Wersja A3 o zasięgu 30 km potrafi samodzielnie latać i likwidować cele przez godzinę. Można go również przystosować do przenoszenia mniejszych pocisków i granatów. Maszyna jest zaprojektowana z myślą o pracy w roju, czyli w grupie kilkudziesięciu, a nawet kilkuset maszyn, które gęsto pokrywają przestrzeń powietrzną.

Tajne przez poufne

Korzystanie z broni typu LAWS jest zwykle owiane tajemnicą, ale istnieją już udokumentowane przypadki. W 2020 r. eksperci ONZ udowodnili, że podczas konfliktu w Libii turecki dron Kargu-2 samodzielnie wytropił i zabił człowieka. Niewykluczone, że podobnych egzekucji było więcej. W 2021 r. w Strefie Gazy Izrael po raz pierwszy w historii wykorzystał rój autonomicznych dronów w celu wykrywania miejsc, z których Hamas wystrzeliwał pociski. Według „Times of Israel” drony przesyłały lokalizację do wyrzutni rakiet, które automatycznie uderzały we wskazany cel. Taki sposób wykorzystania AI jest specjalnością IDF. Ich najbardziej znany system to duży dron wojskowy IAI Heron, który samodzielnie monitoruje teren i rekomenduje obiekty do zbombardowania.

Heron kupiło wiele państw, m.in. Stany Zjednoczone, Kanada, Francja, Niemcy i Turcja. Wersja eksportowa jest nieuzbrojona, choć Indie początkowo planowały zmodyfikować ją tak, by system miał możliwość wystrzeliwania bomb naprowadzanych laserowo i pocisków przeciwpancernych (w 2023 r. wycofały się z tego pomysłu). Wersję używaną przez Izrael można w każdej chwili rozbudować o mechanizm wystrzeliwania pocisków.

Oparty na sztucznej inteligencji system analityczny Lavender został wykorzystany do stworzenia listy 37 tys. rzekomych bojowników Hamasu podczas wojny w Strefie Gazy w 2024 r. Jak wynika ze śledztw dziennikarskich, wśród celów prawdopodobnie były osoby, które nie odgrywały żadnej poważnej roli w organizacji lub współpracowały z nią sporadycznie. Operatorzy Lavendera nie przeprowadzali starannej selekcji i nie liczyli się z ryzykiem zabicia niewinnych cywilów. „Na tym etapie poświęcałem 20 sekund na jeden cel, a każdego dnia selekcjonowałem ich dziesiątki. Jako człowiek nie wnosiłem

Żyjemy w czasach rewolucji militarnej napędzanej eksplozją danych. Pole bitwy jest zalewane informacjami w sposób niewyobrazalny jeszcze jedno pokolenie temu

żadnej wartości dodanej, poza tym, że dawałem swoją akceptację. Oszczędziło to mnóstwo czasu” – przyznał „Guardianowi” anonimowy operator Lavendera.

Wolna amerykanka

W pełni autonomiczne bronie, które potrafią same dokonać wystrzału, takie jak rosyjski dron Lancet, turecki Kargu, izraelski Harpy czy amerykański system obrony przeciwpowietrznej Phalanx, wciąż nie są wykorzystywane na dużą skalę. Jednak systemy masowej identyfikacji celów przez AI, w których człowiek staje się tylko automatem do włączania przycisku, również de facto należałyby zaliczyć do broni typu LAWS (formalnie nie spełniają kryteriów definicji). Problem w tym, że projektowanie i stosowanie broni autonomicznej jest nieuregulowane na szczeblu międzynarodowym. W grudniu 2024 r. Zgromadzenie Ogólne ONZ przyjęło rezolucję wzywającą do przyjęcia odpowiednich przepisów, w tym zakazu używania niektórych typów LAWS (szczególnie takich, które mogą funkcjonować zupełnie bez nadzoru człowieka).

Do przyjęcia konwencji w sprawie broni autonomicznej od lat wzywa Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Zdaniem organizacji należy zakazać stosowania wspomaganych przez AI systemów, których działanie może być nie selektywne i nieprzewidywalne. MCK podkreśla, że użycie broni LAWS powinno być dopuszczalne jedynie w przypadku likwidacji obiektów i jednostek uzbrojenia lub neutralizowania wrogich pocisków. Wystrzał musi zaś zawsze poprzedzić świadoma decyzja człowieka.

Nad uregulowaniem tej kwestii pracuje również grupa ekspertów reprezentująca strony konwencji o zakazie lub ograniczeniu użycia pewnych broni konwencjonalnych (CCW). Dotychczasowe wnioski mówią m.in. o konieczności rozróżniania przez LAWS cywilów i rannych od żołnierzy biorących czynny udział w walce. Użycie takiej broni musi być proporcjonalne, czyli brać pod uwagę ewentualne szkody dla ludności cywilnej. Operator powinien w każdym momencie mieć możliwość anulowania ataku, jeśli cel został błędnie zidentyfikowany. Nie są to rzadkie przypadki – według IDF system Lavender jest skuteczny w 90 proc.

Sekretarz generalny ONZ wezwał do zakończenia negocjacji w sprawie rozszerzenia CCW do końca 2026 r. Według ośrodka Automated Decision Research przeciwko są m.in. USA, Rosja, Japonia, Wielka Brytania i Izrael. Do przeciwników regulacji zalicza się też Polska. Można przypuszczać, że rząd po prostu nie chce występować wbrew stanowisku Białego Domu. Jednak w naszym interesie jest to, by najbardziej zaawansowane technologicznie armie świata nie mogły swobodnie budować śmiertelnej broni autonomicznej. Powód jest prosty: nie należymy do tej elitarnej grupy. ©©



Więcej tekstów tego autora
Skanuj kod!
DGP.pl

Świat

Żołnierz, haker, szpieg, inżynier

Przełom w wojnie rosyjsko-ukraińskiej może być bliższy, niż się dzisiaj wydaje. Jej losy rozstrzygną się jednak nie tylko na stepowym polu walki, lecz także nad Zatoką Perską, w Waszyngtonie i Pekinie

Witold

Sokała

Donald Trump przedstawiający się jako Chrystus i fala oburzenia łącząca chrześcijan różnych denominacji w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie. Dramatyczne wydarzenia wokół Zatoki Perskiej, w tym potencjalne zagrożenie nuklearną eskalacją konfliktu z Iranem, oraz ich polityczne i ekonomiczne konsekwencje (te drugie mocno odczuwane także na polskich stacjach paliw). Wreszcie wybory na Węgrzech, które zakończyły się przecież porażką nie tylko Viktora Orbána, lecz de facto także całego ruchu MAGA i szerokiego frontu jego międzynarodowych sympatyków zaangażowanych do samego końca we wsparcie dla partii Fidesz. Te tematy ze zrozumiałych względów przyciągały ostatnio uwagę mediów i nakręcały emocje opinii publicznej, spychając na dalszy plan trwającą już piątą rok wojnę rosyjsko-ukraińską. Poza groźnym specjalistów i osób osobiście zainteresowanych pewnie mało kto – nie tylko w Polsce – czytuje się starannie w kolejne komunikaty: o rosyjskich atakach z powietrza na ukraińskie miasta i nowych ofiarach cywilnych, o ciężkich walkach wokół zrujnowanych wiosek, po których strony wydają sprzeczne oświadczenia, o nowych pakietach sankcji, od których rosyjska gospodarka już dawno miała się załamać, ale jakoś wciąż trwa i nadal jest zdolna do żywienia wojny. Aż się prosi, by ten wielomiesięczny, krwawy i pozornie beznadziejny pat podsumować trawestacją tytułu klasycznej powieści Ericha Marii Remarque’a o walkach na wyniszczenie podczas I wojny światowej: „na Wschodzie bez zmian”.

Na Wschodzie coś ważnego się jednak zmienia. Mamy bowiem do czynienia z poważną rekonfiguracją układu sił, zarówno lokalnych, jak i globalnych. W pierwszym przypadku katalizatorami są strategie walczących stron i ich sojuszników, w drugim zaś – w dużej mierze – wspomniane wyżej wydarzenia z medialnych czołówek. Tworzą się więc nowe jakościowo trendy, których dalszy rozwój zapewne przesądzi wreszcie o rezultacie wojny o Ukrainę. A potem zdecyduje o zupełnie nowym kształcie środowiska bezpieczeństwa, być może nie tylko regionalnego.

Ukraina na fali

Nie ulega wątpliwości, że w piątą rok wojny Ukraina weszła jako państwo... zwycięskie. Nie tylko nie rozsypała się w proch pod pierwszymi uderzeniami silniejszego sąsiada, co już samo w sobie było sukcesem, dla wielu obserwatorów bardzo zaskakującym. W kolejnych latach pokazała też wewnętrzną odporność na skutki długotrwałej presji militarnej, w tym na zbrodnicze działania przeciwko ludności cywilnej, co w przypadku wielu innych państw łatwo mogłoby doprowadzić do upadku ducha i załamania obrony. W ciągu ostatniego roku zdała kolejny trudny test: przetrwała praktyczne wyzerowanie pomocy ze strony kluczowego sojusznika, czyli Stanów Zjednoczonych, połączone z silną presją polityczną Białego Domu na zawarcie niekorzystnego dla siebie pokoju „za wszelką cenę”.

Co najważniejsze: na razie małymi krokami, ale jednak Ukraina zaczyna wygrywać wojnę już nie tylko w sensie politycznym i symbolicznym, lecz także wojskowym. W I kw. 2026 r., dzięki serii silnych uderzeń lądowych w kluczowych obwodach dniepropietrow-

skim i zaporoskim, odzyskała łącznie 500 km kw. swojego terytorium, czyli po raz pierwszy od letniej ofensywy z 2023 r. nieco więcej, niż jednocześnie udało się zająć Rosjanom na innych odcinkach frontu. Jednocześnie wyraźnie wzrasta intensywność i skuteczność ukraińskich uderzeń powietrznych na rosyjskie głębokie zaplecze. Ostatnio udało się m.in. sparaliżować na dłuższy czas działanie wielkich terminali naftowych i obiektów rafinerijnych w Primorsku i Ust-Łudze nad Bałtykiem, poważnie uszkodzić duże rafinerie w baszkirskim Nowo-Ufimsku, w Uchcie, Saratowie i Wołgogradzie, uderzyć w instalacje portowe w Noworosyjsku, w platformy wiertnicze i terminal naftowy w pobliżu Krymu, poważnie uszkodzić fabrykę podzespołów raketowych w obwodzie briańskim i statek z rosyjską pszenicą na Morzu Azowskim, a ponadto trafić fregatę „Admirał Essen” (być może również drugą tego typu – „Admirał Makarow”) na Morzu Czarnym. Do tego dochodzi nowa seria tajemniczych wypadków w kluczowych rosyjskich przedsiębiorstwach – np. w fabryce prochu w Kazaniu czy w zakładach petrochemicznych w Nizniekamsku w Tatarstanie – które również dobrze mogą być efektem niskiej kultury technicznej, deficytu komponentów i śrubowania norm produkcyjnych wbrew zdrowemu rozsądkowi, co ukraińskiego sabotażu.

To w dużej mierze skutki przemysłowej i konsekwentnej strategii. W obliczu trwałego deficytu tzw. siły żywej, czyli znacznie mniejszych od rosyjskich możliwości mobilizacyjnych, Ukraińcy już dawno postawili na jakość (technologiczną) zamiast ilości. Opracowali zaawansowane, własne technologie dronów powietrznych i wdrożyli je do masowej produkcji, co pozwala na długodystansowe ataki (już niezależnie od ewentualnej zgody i pomocy z Waszyngtonu) oraz wspiera działania na linii frontu, a przy tym daje okazję do współpracy z partnerami w różnych częściach świata.

Parę dni temu Zełenski uzgodnił bardzo atrakcyjne umowy z Niemcami i Norwegią – w zamian za dzielenie się swoimi technologiami i doświadczeniem Ukraińcy zyskują m.in. finansowanie, nowe systemy przeciwlotnicze oraz dostęp do danych wywiadowczych. Ponadto ukraińscy eksperci są dziś cennymi konsultantami dla krajów Zatoki Perskiej, w kolejce do nawiązania współpracy ustawiła się Japonia, a brytyjski minister stanu ds. sił zbrojnych Al Carns niedawno publicznie pochwalił ukraińskie dokonania w dziedzinie dronów, sztucznej inteligencji i wykorzystania danych i wskazał je jako wzorzec dla państw NATO.

Wstrząs i korekta

Kolejny ukraiński sukces to opracowanie i bliskie wdrożenie własnej rakiety Koral zdolnej do niszczenia zarówno samolotów, jak i pocisków manewrujących oraz balistycznych, czym parę dni temu pochwalił się Zełenski. Symboliczna wisienka na tym torcie: dzięki postępowi w konstruowaniu bezzałogowych platform do walki łą- ➤



FOT. NIKOLETTA STOYANOVA/GETTY IMAGES

dowej, wyposażonych na razie głównie w broń maszynową, Ukraińcy przeprowadzili po raz pierwszy zwycięski szturm na rosyjskie pozycje całkowicie bez udziału piechoty, czyli bez narażania swoich ludzi, używając w walce tylko zdalnie sterowanych robotów. To przełom, który historycy wojskowości będą pewnie kiedyś wymieniać jako jeden z kamieni milowych w ewolucji sztuki wojennej, ale już dzisiaj – ważny krok do zrównoważenia bodaj ostatniej rosyjskiej przewagi.

Okazuje się więc, że z Rosją da się walczyć nie tylko bez pomocy Ameryki, lecz także wbrew oczekiwaniom prezydenta USA i jego zaplecza. To napędza europejskie dążenia do samodzielności strategicznej, bo państwa Starego Kontynentu z jednej strony czują się coraz bardziej zagrożone agresywną polityką Rosji i tracą resztki nadziei co do możliwości polegania na USA, a z drugiej – widzą swoją rosnącą sprawczość. Sukcesy Kijowa nie byłyby przecież możliwe bez wsparcia Londynu, Warszawy, Sztokholmu, Berlina, a nawet Paryża.

To musi być wstrząs dla wielu ludzi w Stanach. Pogardzany przez środowiska protrupowskie Zełenski radzi sobie coraz lepiej, lekceważeni Europejczycy stawiają się coraz mocniej, zamiast żebrać o litość, tymczasem Putin – z którym wiązano wielkie nadzieje polityczne i biznesowe – brnie w beznadziejną wojnę i ani myśli zrezygnować z konszachtów z Pekinem, Teheranem i Pjongjangiem. Jednocześnie Donald Trump wmanewrował swój kraj w podobnie beznadziejny konflikt zbrojny z Iranem, co pozostawiło mu dwie drogi, obie złe: albo maksymalna eskalacja, włącznie z niezwykle trudną ope-

racją lądową, a nawet z ewentualnym użyciem arsenału nuklearnego, albo wycofanie się rakiem połączone z rozpaczliwymi próbami propagandowego zakłamania rzeczywistości.

Rosja przy okazji zyskała nowe możliwości dyplomatyczne, a przede wszystkim zawieszenie znacznej części sankcji na swoje surowce – ukraińskie ataki na rafinerie zminimalizowały co prawda pozytywne skutki tej decyzji USA dla rosyjskiego budżetu, niemniej jednak pozwoliła ona sojusznikom Moskwy, w tym Chinom, na złagodzenie deficytu na ich rynkach wewnętrznych. Paradoksalnie Trump wzmocnił więc globalną oś złą, z którą obiecał walczyć, zamiast ją osłabić. A przy okazji spowodował perturbacje i wzrost cen nawet na rynku amerykańskim, co przed wyborami do Kongresu pachnie politycznym samobójstwem.

To bodaj ostatni moment, w którym rozpędzony liniowiec partii republikańskiej i jej biznesowego zaplecza może jeszcze dokonać korekty kursu prowadzącego do nieuchronnego zderzenia z górą lodową. Samo rzucenie na pożarcie sekretarza obrony Pete’a Hegsetha, co chyba przygotowywano jako plan awaryjny, to raczej zbyt mało dla uspokojenia konserwatywnego elektoratu. Nasuwa się więc pytanie: pojawienie się akurat teraz niesławnego obrazka z Trumpem w roli Chrystusa to tylko kolejny wybrzyk niepoprawnego narcyza czy raczej wewnętrzna prowokacja mająca przyspieszyć i tak nieunikniony upadek prezydenta, żeby uratować ważnych ludzi z jego zaplecza? Przecież nie sam Trump stworzył tę grafikę, raczej by tego nawet nie potrafił. On ją co najwyżej zaakceptował, nie rozumiejąc w swym zadufaniu, w co wdeptuje.

Ukraiński żołnierz z jednostki bezałogowych statków powietrznych Tajfun trzyma nowy dron szturmowy Marsjanin

Bo afery obyczajowe jego zwolennicy mogli zlekceważyć, ogólny styl prezydentury (a raczej jego brak) nawet pochwalić, podobnie jak np. groźby pod adresem Grenlandii, ale naruszenie religijnego tabu to co innego. Zwłaszcza gdy osobista sytuacja ekonomiczna wielu wyborców się pogarsza.

Ciąg dalszy może nastąpić niebawem, choć raczej nie w postaci formalnego impeachmentu, bo to oznaczałoby przyznanie się republikanów do personalnego błędu i dodatkowo wzmocniło stronę demokratyczną. Ale „dobrowolne” odejście prezydenta ze względu na stan zdrowia, z automatyczną sukcesją J.D. Vance’a? Czemu nie, choć zapewne w powietrzu wiszą też opcje znacznie bardziej brutalne i mniej legalistyczne.

Rosja: zmierzch Putina?

Vance (jak każdy nowy republikański lider w wyobraźalnej przyszłości) będzie oczywiście nadal niechętny zintegrowanej politycznie i gospodarczo Europie. To kwestia długofalowych interesów. Powinien być jednak bardziej profesjonalny i pragmatyczny od swego poprzednika, zdolny do uczenia się na niedawnych błędach (oby!), a w ramach tego mniej podatny na rosyjskie działania podprogowe i manipula-

cje. I prawdopodobnie bardziej skłonny do stosowania wobec Rosji języka siły, który kontrpartner rozumie i szanuje, zamiast polityki darmowych ustępstw, która go tylko rozzuchwała. Rosnąca w siłę Ukraina mogłaby się stać dobrym partnerem do realizacji skorygowanej strategii. Tym bardziej że USA powinny być zainteresowane szybkim odzyskaniem dawnej pozycji wobec Kijowa, zanim powstałe z ich winy luki ostatecznie wypełni ktoś inny.

Ewentualny powrót USA do asertywności wobec zbójceckich działań Kremla nie będzie oczywiście bezproblemowy. Nieszczęsnego Steve’a Witkoffa w roli negocjatora można łatwo zastąpić kimś choć trochę lepszym, lecz silna grupa sympatyków Rosji w łonie MAGA nadal pozostanie w grze, a skutków spektakularnej demolki wśród doświadczonych agentów CIA i dyplomatów wyspecjalizowanych w problematyce rosyjskiej nie da się odwrócić z dnia na dzień. Ale i tak „okno możliwości”, które Moskwa zyskała wraz z prezydenturą Trumpa, może się niebawem zatrasnąć. A przynajmniej mocno przymknąć.

Tymczasem w rosyjskiej machinie wojennej dzieje się coraz gorzej. Nadzieje na przełom operacyjny na froncie uległy już chyba wyzerowaniu, za to rosnące straty w ludziach i sprzęcie coraz trudniej jest uzupełnić. Stąd próby przymusowego werbunku studentów (rękami władz akademickich) i coraz szersze sięganie po egzotycznych najemników (np. z Kamerunu, jak się ostatnio okazało). Poziom życia przeciętnego Rosjanina spadł już bardzo wyraźnie, a wraz z nim realne poparcie dla polityki władz. Widać to nawet w rosyjskich mediach społecz-

UKRAINA

nościowych. W publikacjach popularnych „milbloggerów” (internetowych komentatorów wojny i związanej z nią polityki, nierzadko byłych oficerów armii lub służb specjalnych) i w coraz liczniejszych komentarzach krytycznych wobec efektów „specjalnej operacji wojskowej”.

To skutek albo słabnącej kontroli, albo testowania ewentualnych radykalnych zmian przez część rosyjskich służb specjalnych (mechanizm dość znany w praktyce tej części świata). Putin i jego akolici robią dobrą minę do coraz gorszej gry, ale warto być otwartym na perspektywę relatywnie rychłej korekty kursu także w Rosji. Prawdopodobnie – tak jak w Stanach – obejmującej zaskakujące zmiany personalne. Dylemat rosyjskich elit względem Ukrainy jest bowiem bliźniaczo podobny do tego, który Amerykanie mają wobec Iranu: eskalacja z wszelkimi jej kosztami albo odwrót z próbą zachowania twarzy. W tym drugim przypadku Putin, jako twórca i symbol starej polityki, byłby skrajnie mało wiarygodnym wykonawcą nowej, opartej siłą rzeczy na negocjacjach, poszukiwaniu rozwiązań o sumie niezerowej i przede wszystkim prymacie interesów gospodarczych nad brutalną przemocą. Ktoś w rodzaju Kiryła Dmitrijewa – to co innego.

Taki wariant to rzecz jasna tylko jedna z opcji. W rosyjskich realiach racjonalna autokorekta samobójczej polityki będzie dużo trudniejsza niż w amerykańskich. Jako bardziej prawdopodobny scenariusz można więc przyjąć ten, w którym Rosja brnie nadal ku przepaści ekonomicznej i cywilizacyjnej, starając się zabrać poza krąg jak najszersze grono swoich ofiar.

Równia pochyła i poręcze

Wobec wyczerpywania się dostępnych środków czysto wojskowych podtrzymywaniu agresji będą zapewne służyć coraz intensywniej używane narzędzia asymetryczne: od blefu nuklearnego i różnego rodzaju szantaży wspieranych głosami dobrze uplasowanej agentury wpływu i „pożytecznych”, krótkowzrocznych oportunistów po bezpośrednie działania dywersyjne, w tym dotyczące cyberprzestrzeni. Wszystkie będą obliczone na sparaliżowanie zewnętrzznego wsparcia dla Ukrainy. Niestety, na niektóre z działań informacyjnych Europa będzie teraz bardzo podatna z uwagi na „okołoirański” kryzys energetyczny. Na cyberuderzenia w naszą infrastrukturę krytyczną oraz kluczowe zasoby ludzkie także. Jednym z dzwonek alarmowych niech będzie środowa informacja Reutersa o ujawnieniu masowego ataku hakerów powiązanych ze służbami specjalnymi Rosji na kilkaset kont należących do prokuratorów, funkcjonariuszy i urzędników w Ukrainie, Rumunii, Bułgarii, Grecji i Serbii (tak, sprzymierzeńców też się szpieguje). Zapewne celem było pozyskanie wiedzy o ich działaniach przeciwko rosyjskim siatkom szpiegowskim, ale także zdobycie ewentualnych „kompromatów” pozwalających potem na efektywny werbunek

wybranych osób. Akurat ci hakerzy popełnili błędy, które ułatwiły ich namierzenie i powstrzymanie, należy jednak zakładać, że takich grup jest znacznie więcej i codziennie ciężko pracują, by zrównoważyć klęski i problemy swych mocodawców w innych obszarach.

Chodzi więc o to, by jak najszybciej pozbawić zjeżdżającą po równi pochyłej Rosję ostatnich poręczy, których się przytrzymuje. Jedną z nich jest ponowny wzrost cen surowców energetycznych na rynkach światowych. Tutaj potrzeba po pierwsze radykalnego uspokojenia sytuacji wokół Zatoki Perskiej, po drugie nowego układu pomiędzy arabskimi producentami ropy a zainteresowanymi państwami Zachodu, który wykluczy z układanki (i zysków) bandytów. Szanse na to są niezerowe,

ale klucz do ich uruchomienia spoczywa w rękach rozsądniejszej części amerykańskiej klasy politycznej. Poręcz numer dwa to oczywiście Chiny – chodzi o to, by solidarnie dać im do zrozumienia, że dalsze wspieranie reżimu Putina i jego wojny jest jednak niekorzystne dla długofalowych interesów ChRL. Pekin zyskał sporo na ostatnich błędach USA, ale ma też swoje, od dawna nierozwiązane problemy ekonomiczne i raczej nie jest zainteresowany dalszym wzrostem napięcia międzynarodowego. Zachód wciąż ma więc istotne narzędzia, by negocjować z Xi Jinpingiem i jego ludźmi rozsądne kompromisy.

Warunek: w kluczowych stolicach owego Zachodu warto wreszcie skorygować oceny, kto jest sojusznikiem, kto wrogiem, a kto tylko trudnym, lecz po-

tencjalnie konstruktywnym partnerem. Aktualna konfiguracja może temu procesowi sprzyjać, choć oczywiście nie jest przesądzone. Trzymajmy więc kciuki, pomagajmy, gdzie się da, a przynajmniej – nie przeszkadzajmy dobrym trendom. ©©



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Witold

Sokała

wykładowca
Instytutu Stosunków
Międzynarodowych
Uniwersytetu Jana
Kochanowskiego
w Kielcach,
przewodniczący Rady
i analityk Fundacji
Po.Int, publicysta DGP

PANORAMA GOSPODARCZA

TEKST PROMOCYJNY

Dassault Systèmes – od wizji do rzeczywistości dzięki sztucznej inteligencji i wirtualnym bliźniakom



Od Boeinga 777 po nowoczesne samochody i rozwiązania przemysłowe – firma Dassault Systèmes rewolucjonizuje inżynierię dzięki technologii wirtualnych bliźniaków oraz platformie 3DEXPERIENCE. Ireneusz Borowski, dyrektor zarządzający Dassault Systèmes na Polskę, podkreśla, w jaki sposób technologie te przekształcają produkcję, opiekę zdrowotną i rozwój przemysłu w Polsce oraz na całym świecie.

Firma Dassault Systèmes w 1981 r. wyodrębniła się z Dassault Aviation i zaczęła funkcjonować jako osobna spółka. Opracowuje oprogramowanie, w szczególności technologię wirtualnych bliźniaków, dla takich branż jak produkcja, transport i mobilność, Life Science i opieka zdrowotna, a także infrastruktura i miasta. - Od początku pomagaliśmy firmom przemysłowym w zmianie sposobu projektowania i wytwarzania produktów. Przekształciliśmy tradycyjne projektowanie 3D w zintegrowane projektowanie produktów, co przyczyniło się do wzmocnienia innowacyjności wielu branż – mówi Ireneusz Borowski.

Przełomowa była współpraca z firmą Boeing, która wykonała oprogramowanie Dassault Systèmes do opracowania w pełni cyfrowej makiety 3D samolotu Boeing 777. W 2012 roku firma uruchomiła platformę 3DEXPERIENCE, umożliwiającą zintegrowane modelowanie 3D, symulację i wspólne zarządzanie danymi w ujednoczonym środowisku wirtualnym. 3D UNIV+RSES, najnowsza koncepcja firmy, rozszerza możliwości wykorzystania wirtualnych bliźniaków poprzez integrację AI, nauki o danych i zaawansowanego modelowania w ramach ujednoczonej platformy.

Sztuczna inteligencja wspiera rozwój biznesu

Technologia wirtualnych bliźniaków w połączeniu z AI umożliwia optymalizację produktu na etapie projektowania, poprawiając jakość i trwałość, a jednocześnie pomagając zmniejszyć wpływ na środowisko. Pozwala również firmom modelować cały cykl życia produktu po etapie sprzedaży. Wykorzystując wirtualne bliźniaki oparte na AI, firmy mogą skrócić cykl rozwoju produktów nawet o 30–50%, jednocześnie znacznie zmniejszając zapotrzebowanie na fizyczne prototypy. - Platforma 3DEXPERIENCE jest również dostępna w chmurze, dzięki czemu zaawansowane rozwiązania stosowane przez globalne firmy, takie jak Boeing, stają się dostępne dla małych przedsiębiorstw i start-upów. Ta demokratyzacja technologii umożliwia organizacjom każdej wielkości korzystanie z najnowszych narzędzi i konkurowanie na najwyższym poziomie – podkreśla Borowski.

Aneta Żych

<https://panorama-gospodarcza.gazetaprawna.pl/>



Mniej Więcej

Łukasz

Wilkiewicz

Przyspieszenie wyludnienia

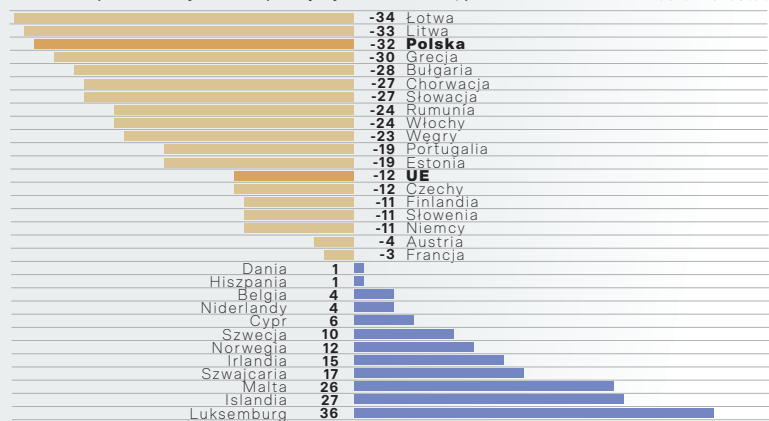
Do końca stulecia ludność Polski skurczy się do 25,7 mln – wynika z najnowszej projekcji Eurostatu. W podobnej prognozie sprzed trzech lat unijni statystycy również prognozowali nam spadek liczby ludności, ale „tylko” do 29,5 mln. Trzydziestodwuprocentowy spadek (większy mają zanotować tylko Łotwa i Litwa) to scenariusz uwzględniający napływ migrantów. Bez nich w 2100 r. Polska miałaby mniej niż 20 mln mieszkańców, co oznaczałoby spadek o 49 proc. Bez migrantów populacja Włoch spadłaby o 55 proc. – do niecałych 27 mln, a Hiszpanii o 52 proc. – do mniej niż 24 mln. ©

Projekcja zmiany liczby ludności

scenariusz podstawowy (zmiana pomiędzy 2025 a 2100 r.; proc.)

RM ©

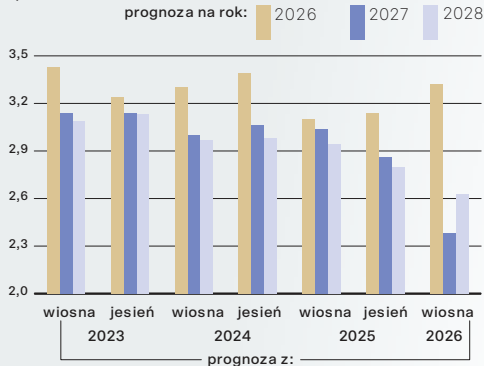
Źródło: Eurostat



Mniej optymizmu w prognozach

Wojna w Iranie spowodowała, że MFW obniżył prognozy wzrostu gospodarczego na świecie (i podwyższył prognozy dla inflacji). Jak wynika z najnowszej „World

Prognozy MFW wzrostu PKB (proc.)



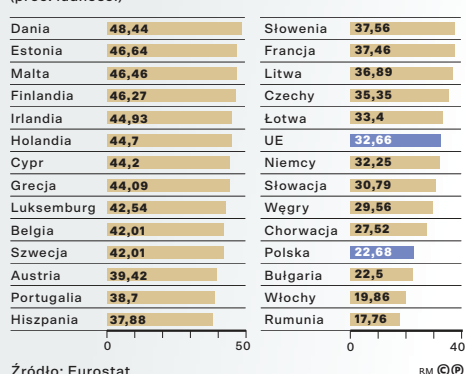
Źródło: MFW

Economic Outlook”, tegoroczny wzrost PKB Polski jest spodziewany na poziomie 3,3 proc. W styczniu Fundusz oczekiwał wzrostu na poziomie 3,5 proc. Na wykresie pokazujemy kolejne rundy prognozy z „Outlooka”. Historia formułowanych co pół roku prognoz pokazuje, że najmocniej w dół poszły oczekiwania dotyczące 2027 r. Wtedy (podobnie ma być w 2028 r.) Polska będzie się rozwijała wolniej niż gospodarka globalna. ©

W Polsce AI przyjmuje się (dość) wolno

Chociaż temat sztucznej inteligencji na dobre wszedł do debaty publicznej, to pod względem popularności narzędzi AI Polacy są daleko za europejskimi liderami. Sporo brakuje nam nawet, byśmy mogli się uznać w tym zakresie za unijnych średniaków. W całej UE w ub.r. z AI

Korzystanie z AI w 2025 r. (proc. ludności)



Źródło: Eurostat

korzystał przeciętnie co trzeci mieszkaniec. U nas niecałe 23 proc. Dawało to nam czwarte miejsce od końca w Unii. W starszych grupach wiekowych wyprzedzaliśmy tylko Rumunów. W Polsce 85 proc. korzystających z AI robi to w celach prywatnych, 37 proc. na potrzeby pracy, a 20 proc. w edukacji. W UE proporcje są inne: cele prywatne deklaruje 77 proc. ankietowanych, pracę z AI 46 proc., a naukę 29 proc. ©

Jak rozbić zabetonowany system

Wybory parlamentarne pokazały, że Węgrzy oczekują nie wymiany elit, lecz głębokiej przebudowy państwa. Jak pogodzić społeczne oczekiwania resetu z ramami praworządności UE?

Dominik

Héjj

Péterowi Magyarowi udało się rzecz wręcz nieprawdopodobna. Lider TISZ-y pokonał system, który w swoim założeniu miał zapewnić absolutną nieodwołalność władzy Viktora Orbána. Jak zdradził w środę rano (15 kwietnia), podczas swojego pierwszego od półtora roku wywiadu w węgierskich mediach publicznych, w latach 2024–2026 odbył aż 700 bezpośrednich spotkań z wyborcami. To skala kampanijnego wysiłku, która nie znajduje precedensu w węgierskiej polityce, wsparta dodatkowo tytanicznym zaangażowaniem 50 tys. wolontariuszy, którym premier in spe dziękował już wielokrotnie od niedzielnego wieczoru.

Magyar w każdym swoim wystąpieniu podkreśla, że Węgrzy zagłosowali w tych wyborach nie za zwykłą zmianą rządu, lecz za obaleniem całego dotychczasowego systemu. Paradoks polega na tym, że aby ostatecznie zdemontować ten układ, Magyar najprawdopodobniej będzie musiał sięgnąć po te same twarde narzędzia i metody, które Fidesz wykorzystał do zabetonowania swojej pozycji po dojściu do władzy w 2010 r. Zawsze warto też pamiętać, że dzisiejszy wróg nr 1 Orbána w latach 2002–2024 sam pozostawał lojalnym członkiem jego partii.

W oczekiwaniu na miliardy

Péter Magyar obiecał Węgom natychmiastowe odblokowanie unijnych funduszy. To jego drugi cel, zaraz po rozliczeniu rządów Orbána. W minionej środę już po raz drugi rozmawiał o pieniądzach z przewodniczącą Komisji Europejskiej. „Rozpoczynamy nieformalne konsultacje, obie strony wyznaczyły negocjatorów. Zgodziliśmy się z Ursulą von der Leyen, że terminy związane z funduszami unijnymi są bardzo napięte” – powiedział później. Dodał również, że szefowa KE podziela jego stanowisko,

iż zamrożone pieniądze „bezwzględnie należą się węgierskiemu społeczeństwu”. Lider TISZ-y głęboko wierzy, że w krótkim czasie jest w stanie uwolnić nawet 18–19 mld euro. Chodzi tu zarówno o zamrożone fundusze spójności (ok. 8 mld euro), jak i cały komponent pożyczek oraz dotacji w ramach Krajowego Planu Odbudowy (ok. 10 mld euro), z którego Węgry dotychczas nie mogły w ogóle skorzystać. O wiele prostsze jest odblokowanie środków z mechanizmu SAFE (16,2 mld euro), które zależy od decyzji politycznej.

Jak donosi opozycyjny portal Válasz Online, eksperci partii TISZA już od półtora roku w kulisach pracowali nad prawnym i dyplomatycznym planem odblokowania tych środków. Aby do tego doprowadzić, nowa większość parlamentarna musi błyskawicznie uchwalić kilka kluczowych pakietów ustaw. Po pierwsze, chodzi o realne przeciwdziałanie korupcji, co ma się dokonać przez akces Węgier do Prokuratury Europejskiej (EPP) oraz powołanie nowej instytucji – narodowego urzędu odzyskiwania i ochrony mienia. Organ ten zajmie się badaniem przypadków korupcji i gigantycznych nadużyć gospodarczych z ostatnich kilkunastu lat, obejmując tym samym cały okres rządów Fideszu (od 2010 r.). Jego nadrzędnym celem będzie ustalenie, w jaki sposób majątek państwowy był wyprowadzany do podmiotów powiązanych z obozem władzy, a następnie jego faktyczne i skuteczne odzyskanie.

Po drugie, niezbędne jest przeprowadzenie natychmiastowej reformy sądownictwa. Z uwagi na presję czasu na początek zapewne w okrojonej formie, która zagwarantuje sędziom pełną niezależność w zakresie kontroli nad wydatkowaniem środków unijnych. Chodzi o to, by przekonać Brukselę, że dotychczasowe defraudacje więcej się nie powtórzą.

Trzecim, nie mniej ważnym elementem tego pakietu, jest ustrojowe przywrócenie wolności prasy oraz wolności akademickiej. W praktyce to ostatnie oznacza odebranie majątków uczelni wyższych z rąk kontrolowanych przez Fidesz fundacji.



Péter Magyar,
przewodniczący
zwycięskiej partii TISZA

starala się szczerze zabezpieczyć swoje trwanie u władzy nawet na wypadek wyborczej porażki, jednak najwyraźniej nie przewidywała sytuacji, w której Fidesz traci wszystko na rzecz innej, samodzielnej większości konstytucyjnej.

Péter Magyar chce teraz ten zastany układ nie tyle zreformować, ile dokonać jego całkowitej dekompozycji. Uważa on, że obecny system prawa nie ma już legitymacji, bowiem jedynym jego gwarantem był Viktor Orbán, który przegrał wybory. Problem polega na tym, że jest to droga niezwykle niebezpieczna: radykalna przebudowa struktur ustrojowych stwarza kolejny precedens i grozi tym, że w przyszłości kolejna partia z większością konstytucyjną bez wahania przestawi wajchę na zupełnie inny tor. O docelowej wizji państwa według TISZ-y nie wiemy praktycznie nic.

Nowe rozdanie

15 kwietnia Péter Magyar spotkał się z urzędującym prezydentem Tamásem Sulyokiem. Jak poinformował po wyjściu z Pałacu Sándora, głowa państwa zapewniła go, że powierzy mu misję tworzenia nowego rządu. Politycy omówili również harmonogram przygotowań do inauguracyjnego posiedzenia Zgromadzenia Krajowego. Według konstytucyjnych terminów odbędzie się ono najwcześniej 4 maja, a najpóźniej 12 maja, jednak sam Magyar zakłada, że sesja otwierająca przypadnie najpóźniej na 6 lub 7 maja.

Podczas tego spotkania premier elekt oświadczył jednak prezydentowi wprost, że uważa go za osobę niegodną pełnienia tego urzędu, dlatego niezwłocznie po powołaniu nowego gabinetu Sulyok powinien sam podać się do dymisji. Jeśli tego nie zrobi, lider TISZ-y zapowiedział użycie całej siły wynikającej ze zdobytej większości konstytucyjnej, co w domyśle oznacza po prostu zmianę ustawy zasadniczej i odwołanie prezydenta (na Węgrzech wybiera go parlament). Jak zrelacjonował to później sam Magyar: „Otrzymałem odpowiedź, że to rozważyć”. Lider TISZA uważa, że prezydent był wykonawcą woli parlamentarnej większości i z nią był związany, dlatego ma ustąpić.

Identyczne wezwanie skierował do przewodniczących sądu konstytucyjnego i sądu najwyższego (Kúrii), a także prezesa najwyższej izby kontroli oraz prokuratora generalnego.

Dlaczego usunięcie prezydenta i przejęcie kontroli nad sądem konstytucyjnym jest dla nowej władzy tak kluczowe? Na Węgrzech pozycja ustrojowa głowy państwa jest wprawdzie dość

słaba, ale w warunkach ekspresowego procedowania kluczowych reform prezydent może skutecznie pokrzyżować plany rządu. O ile zwykle weto prezydenckie nowy parlament przełamałby bez problemu, o tyle znacznie poważniejsze konsekwencje miałyby skierowanie danej ustawy do węgierskiego odpowiednika TK. Z perspektywy TISZ-y problem polega na tym, że organ ten obsadzony jest wyłącznie przez sędziów nominowanych w czasach Fideszu. W razie stwierdzenia niekonstytucyjności aktu dokument wraca do parlamentu, a ustawodawca ma bezwzględny obowiązek usunąć wszystkie zakwestionowane przepisy, zanim ustawa będzie mogła wejść w życie.

Problem w tym, że otwarty konflikt z naczelnymi organami państwa wydłuży drogę uchwalania prawa niezbędnego do odblokowania unijnych środków, a także narazi na krytykę ze strony np. unijnych instytucji.

Teoretycznie TISZA mogłaby spróbować zbudować polityczny kompromis z Tamásem Sulyokiem, uzyskując od niego gwarancję, że nie będzie on odsyłał ustaw do Sądu Konstytucyjnego (którego sam zresztą był sędzią w latach 2014–2024, a od 2016 r. – prezesem). W praktyce jednak taki scenariusz wydaje się mało realny. Jeśli nowy premier rozpoczyna współpracę od twardego wezwania głowy państwa do dymisji, trudno mówić o jakiegokolwiek woli dialogu. Działania te z pewnością wywołają głośną krytykę, bowiem w 2010 r. Fidesz przejmował władzę w kraju dokładnie w taki sam, bezpardonowy sposób. I to będzie budziło ogromne emocje i wątpliwości.

Z uwagi na to, że proces tak głębokich zmian ustrojowych, w tym uchwalenia nowej konstytucji, potrwa bardzo długo, nadrzędnym celem rządu na najbliższe tygodnie pozostanie uruchomienie unijnych środków przez ograniczone reformy. Dopiero potem TISZA sięgnie po opcję atomową w postaci głębokiej zmiany ustrojowej, która z dużym prawdopodobieństwem zostanie wcześniej skonsultowana z instytucjami europejskimi. Chodzi o pewność, że nie zakwestionują nadzwyczajnych środków, które miałyby odwrócić porządek z czasów Orbána.

Ograniczenie własnych kompetencji?

Premier elekt dyskutował z prezydentem m.in. o tym, czy głowa państwa nie powinna zostać wyposażona w szersze kompetencje oraz czy nie należałoby wprowadzić powszechnych, bezpośrednich wyborów na ten urząd. Magyar deklaruje, że jest w stanie poprzeć każdy krok, który systemowo ograniczy ogromne dotąd kompetencje premiera.

Jedną z najgłośniejszych zapowiadanych zmian w konstytucji ma być z kolei ograniczenie możliwości sprawowania urzędu premiera do maksymalnie dwóch kadencji. Co kluczowe, przepis ten ma zostać wprowadzony z mocą wsteczną, co w praktyce oznacza, że Viktor Orbán – mający na koncie łącznie pięć kadencji – nie mógłby nigdy więcej powrócić do rządzenia krajem. ©

Warto przy tym przypomnieć, że ponieważ koalicja Fidesz-KDNP przyjęła część z tych niezbędnych ustaw jeszcze jesienią 2023 r., Komisja Europejska już w grudniu tamtego roku zdecydowała się odblokować pierwsze 10,2 mld euro dla Budapesztu z Funduszu Spójności. W dużym uproszczeniu, obecny pakiet reform TISZ-y to najszybsza możliwa droga legislacyjna potrzebna do ostatecznego zdjęcia mechanizmu warunkowości i uwolnienia reszty funduszy. Niezależnie od tego, do pełnego uruchomienia KPO nowa władza będzie musiała zrealizować jeszcze wiele superkamieni milowych. Jak donoszą media, planem Viktora Orbána było, by środki unijne odblokować najdalej w grudniu 2027 r. przez zagrożenie zawetowaniem kolejnego budżetu UE w nowej perspektywie budżetowej 2028–2034.

Cel uświęca środki?

Mówiąc o systemie Viktora Orbána – z którym zmierzy się teraz Magyar a w którym jego żona pełniła przecież funkcję ministra sprawiedliwości (w latach 2019–2023) – trzeba wskazać, czym w istocie jest węgierski NER. To akronim od Nemzeti Együttműködés Rendszere (Systemu Systemu Narodowego Współdziałania). Była to w zamysłu nowa umowa społeczna, którą Fidesz jednostronnie ogłosił tuż po spektakularnym zwycięstwie wyborczym w 2010 r. Uznano wówczas, że czysto partyjny manifest polityczny przybierze formę oficjalnego aktu prawnego, do którego rząd błyskawicznie wydał odpowiednie rozporządzenie.

Premier Viktor Orbán wyszedł z założenia, że uzyskując w 2010 r. większość konstytucyjną, otrzymał legitymację do bezpośredniego ucieleśniania

„woli ludu”. Wola ta została systemowo wyniesiona ponad rządy prawa. Ten właśnie wątek jest absolutnie fundamentalny do zrozumienia mechaniki państwa, a w konsekwencji – wszystkiego, co wydarzy się na Węgrzech w nadchodzących miesiącach.

W specjalnym, podpisanym przez premiera rozporządzeniu z 2 lipca 2010 r., wprost zobligowano organy państwa, by w ich funkcjonowaniu dawać wyraz Narodowemu Programowi Współdziałania. Adresatami dokumentu byli: prezydent, marszałek Zgromadzenia Krajowego, przewodniczący sądu konstytucyjnego oraz sądu najwyższego, komisje parlamentarne, prezes najwyższej izby kontroli, Narodowego Banku Węgier, a także szefowie organów samorządu terytorialnego, mniejszości, sądów i prokuratur. Zadekretowano tym samym, że całe państwo – niezależnie od trójpodziału władzy – ma służyć realizacji wizji jednej partii. A miało to miejsce ok. 10 tygodni po zwycięstwie koalicji Fidesz-KDNP.

Fidesz systematycznie ograniczał rolę trybunału konstytucyjnego i przeprowadzał głębokie zmiany w państwie, aż wreszcie w kwietniu 2011 r. uchwalił nową ustawę zasadniczą. Prace nad nią wymagały zaledwie 13 posiedzeń parlamentarnej komisji między lipcem 2010 r. a marcem 2011 r. System zaprojektowano tak, że jest w nim miejsce praktycznie tylko dla jednej partii. Dominująca siła

Paradoks polega na tym, że aby zdemontować układ, Magyar będzie musiał sięgnąć po te same metody, które Fidesz wykorzystał do zabetonowania swojej pozycji

Kierunek: Zachód

Péter Magyar będzie chciał budować wizerunek rządu ekspertów. W obsadzaniu kluczowych stanowisk stawia na menedżerów z doświadczeniem w międzynarodowych korporacjach

Z *Andrásem*

Bíró-Nagyem

rozmawia Karolina Wójcicka

Czy Péterowi Magyarowi uda się przywrócić Węgry na właściwy kurs? Kluczowe jest to, że TISZA zdobyła konstytucyjną większość. Ma mandat, by zdemontować reżim Orbána. Większość dwóch trzecich zapewnia partii wszystkie narzędzia prawne, aby dokonać tego, co zapowiadała w kampanii: pełnej zmiany systemu. O pokładanych w niej nadziejach świadczy choćby to, że forint był w ostatnich dniach najsłabszy od czterech lat. Węgry wracają na właściwe tory w relacjach z europejskimi sojusznikami i Unią Europejską. Bez wątplenia priorytetem numer jeden dla Pétera Magyara będzie odblokowanie funduszy unijnych. To z kolei wzmacnia optymizm na rynkach międzynarodowych i daje Węgrom nadzieję, że gospodarka znowu nabierze rozpędu. Fundusze europejskie będą kluczowe dla jej rozwoju. W ostatnich dniach Péter Magyar wspominał też o wyznaczeniu daty wprowadzenia euro. Choć nie nastąpi to szybko, już sama zapowiedź to symboliczny sygnał.

Nauczona doświadczeniami z Polski UE nie zamierza z automatu udzielać Budapesztowi kredytu zaufania i odblokowywać mu pieniędzy. Najpierw będzie oczekiwać konkretnych reform. W przypadku Węgier sytuacja jest o tyle prostsza, że prezydent pełni tu głównie funkcję ceremonialną – nie ma tak silnej pozycji jak prezydent Polski. Dodatkowo większość dwóch trzecich, o której już wspominałem, pozwoli TISZ-y dość łatwo zmieniać ustawy i konstytucję. Daje to realną możliwość wypełnienia wymogów Komisji Europejskiej. Kamienie milowe dotyczą przede wszystkim walki z korupcją, praworządności i jakości demokracji. Wśród ważnych kwestii jest też wolność akademicka. Magyar sygnalizował gotowość rozwiązania problemów w tym obszarze. W przypadku wolności mediów również deklaruje chęć zmian. To sprawy, którymi nowy rząd może zacząć się zajmować od pierwszego dnia.

Ale to chyba nie będzie takie proste. Orbán odchodzi ze stanowiska, ale w instytucjach państwowych pozostanie wielu jego lojalistów. Jak się z tym zmierzyć?

To kluczowe pytanie, presja jest już wyraźnie odczuwalna. Magyar dał jasno do zrozumienia, że oczekuje od tych osób dobrowolnej rezygnacji. Mając większość dwóch trzecich, może też doprowadzić do ich odwołania. Jednak najlepszym scenariuszem byłoby wywarcie presji politycznej bez konieczności podejmowania formalnych kroków. Jeśli presja okaże się niewystarczająca, można się spodziewać, że Magyar sięgnie po inne narzędzia.

Jakie narzędzia ma pan na myśli? Nie chcę na ten temat spekulować.

Jak głębokie muszą być zmiany, żeby Węgry znów stały się w pełni funkcjonującą demokracją? Czy dymisje powinny objąć wyłącznie najwyższych urzędników?

Wszystko zależy od tego, jak bardzo dany resort został upolityczniony w ciągu ostatnich 16 lat. I od tego, na ile partyjna lojalność przeważała nad kompetencjami. Większych zmian można się spodziewać w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W bardziej technicznych, merytorycznych resortach ich skala może być mniejsza. Anita Orbán, przyszła minister spraw zagranicznych, zapowiedziała, że osoby, które w ostatnich latach zachowały profesjonalizm i służyły państwu, a nie Fideszowi, będą mogły pozostać na stanowiskach. Dla niższych szczebli administracji był to uspokajający sygnał.

A co z oligarchami, którzy kontrolują ok. 20 proc. gospodarki? Wyjadą do Dubaju, Moskwy?

W grę wchodzi wiele osób, więc można się spodziewać różnych strategii działania. Już w trakcie kampanii pojawiały się informacje o ludziach, którzy wyjechali do Dubaju, zabierając ze sobą majątek, w tym luksusowe samochody. Zapewne niektórzy pozostaną w kraju i nadal będą wspierać Orbána, licząc na powrót Fideszu do władzy. W takim układzie stanowiliby zaplecze dla przyszłej odbudowy tej partii. Jest jeszcze trzecia kategoria: osoby, które będą przekonywać, że zawsze były krytyczne wobec systemu Orbána, tyle że wcześniej nie zabierały głosu.

Takie przypadki pojawiały się już pod koniec kampanii. Co najmniej dwóch ważnych przedsiębiorców, dotąd uznawanych za bliskich Fideszowi, publicznie opowiedziało się za zmianą, przekonując, że obecny model nie może być utrzymany.

Co wiemy o osobach, które obejmą stanowiska rządowe? Odnoszę wrażenie, że współpracownicy Magyara to ludzie sukcesu.

Myślę, że Magyar będzie chciał budować wizerunek rządu ekspertów. W obsadzaniu kluczowych stanowisk stawia przede wszystkim na menedżerów z doświadczeniem w międzynarodowych korporacjach. Na przykład ministrem gospodarki może zostać były menedżer wysokiego szczebla w Shellu, Istvan Kapitany. Z kolei resortem finansów pokieruje najpewniej András Kármán, były topowy menedżer austriackiego Erste Banku, który pełnił też funkcję sekretarza stanu w pierwszym rządzie Orbána po 2010 r. Przyszła minister spraw zagranicznych Anita Orbán ma doświadczenie m.in. w Vodafone i w sektorze energetycznym, w tym przy projektach związanych z LNG. To pokazuje, że przynajmniej w kluczowych obszarach do rządu dołączają osoby z biznesowym, międzynarodowym zapleczem. Nie oznacza to, że gabinet Magyara będzie w pełni technokratyczny. Sam premier jest politykiem z krwi i kości, a nie technokratą. Jednak potrafi zarówno odnajdować się w danych i analizach, jak i komunikować się z wyborcami, co pokazał w trakcie prowadzonej od podstaw kampanii. W praktyce możemy się spodziewać modelu mieszanego: polityczne przywództwo otoczone doświadczonymi, skutecznymi menedżerami.

Skoro część osób, które obejmą najważniejsze stanowiska w państwie, to byli urzędnicy Fideszu, to czy nie ma ryzyka, że będą powielać te same błędy? Nie mam jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Ważne jest to, że elektorat TISZ-y to nie są w większości dawni wyborcy Fideszu. Owszem, część ludzi rozczarowała się Orbánem, ale bazę Magyara stanowią byli wyborcy partii lewicowych, liberalnych i zielonych. Dużą grupę stanowią też osoby głoszące po raz pierwszy. Magyar cieszy się dużą popularnością wśród młodych, co było wyraźnie widać w noc wyborczą. To sugeruje, że mieszanka programowa, łącząca elementy centrolewicowe i centroprawicowe, może być zachowana. Nie spodziewam się przedłużenia polityki Fideszu. Raczej należy oczekiwać rzeczywistej zmiany.

Na czym ma dokładnie polegać ta mieszanka programowa? Najdalej idące zmiany będą dotyczyć gospodarki, edukacji, ochrony zdrowia, transportu publicznego oraz kwestii związanych z demokracją i praworządnością. Spraw kulturowych – niekoniecznie. W tych ostatnich Magyar jest raczej konserwatywny, podobnie jak większość węgierskiego społeczeństwa.

Dlatego można się spodziewać, że restrykcyjna polityka migracyjna Orbána będzie kontynuowana. Podobnie może być z polityką prorodziną, która w ostatniej dekadzie cieszyła się dużą popularnością. Nowy rząd będzie też musiał się zmierzyć z wysokimi kosztami życia i problemami mieszkaniowymi. Nacisk na jakość usług publicznych oraz poprawę sytuacji mniej zamożnych grup nie jest typowy dla klasycznej prawicy – to bardziej charakterystyczne dla podejścia centrolewicowego. Trudno więc będzie jednoznacznie sklasyfikować ten rząd. Prawdopodobnie będzie łączyć różne priorytety i podejścia bez przyjmowania jednej, prostej etykiety.

A co z prawami osób LGBTQ i prawami kobiet? Na ile są one ważnym tematem dla węgierskich wyborców, zwłaszcza młodych? Aborcja właściwie nie jest tematem politycznym. Około 80 proc. Węgrów popiera prawo do przerywania ciąży. Wiadomo, że w kwestiach LGBT Viktor Orbán zajmował bardzo twarde stanowisko. Nie należy się spodziewać, że Péter Magyar stanie na czele marszu Budapest Pride. Nie jest aż tak progresywny. Jednocześnie deklarował, że przywróci normalne funkcjonowanie prawa do zgromadzeń. Oznacza to, że takie wydarzenia jak Budapest Pride nie będą już zagrożone, a osoby LGBT nie będą poddawane presji i atakom, jak to się działo za rządów Orbána. Można więc mówić o ogólnej tolerancji i większym szacunku, ale nie ma co oczekiwać, że konserwatywne ugrupowanie uczyni z kwestii LGBT jeden ze swoich priorytetów. Raczej nie będzie wchodzić w spory kulturowe. Największy nacisk zostanie położony na gospodarkę i kwestie geopolityczne: powrót Węgier na prozachodni kurs i zacieśnienie relacji z partnerami w UE.

Fidesz ma wciąż szerokie grono zwolenników – zagłosowało na niego 2,5 mln obywateli, na TISZ-ę – 3,3 mln. Co to oznacza dla państwa? Czy potrzebna jest jakaś forma pojednania narodowego?

W pewnym sensie proces ten już trwa. Od wieczoru wyborczego Péter Magyar kilkakrotnie odnosił się do kwestii pojednania. Jego podejście polega na odróżnianiu kilku tysięcy osób z najwyższych szczebli, którym przypisuje odpowiedzialność za nadużycia, od reszty społeczeństwa. Jednocześnie stara się używać retoryki pojednania narodowego i wykonywać gesty świadczące o otwarciu na wszystkich obywateli. Podkreślał, że będzie reprezentował również wyborców Fideszu. ©



András

Bíró-Nagy

politolog i dyrektor ośrodka Policy Solutions

Wojna w Zatoce ratuje finanse Kremla

Wzrost cen ropy naftowej po ataku USA i Izraela na Iran zażegnał kryzys rosyjskich finansów publicznych

Tomasz

Jóźwik

Międzynarodowa Agencja Energetyczna (MAE) podaje, że w marcu przychody Rosji z eksportu ropy naftowej oraz produktów rafinowanych wyniosły 19 mld dol. – i w porównaniu z lutym wzrosły o niemal 100 proc. To też jeden z najlepszych miesięcznych wyników od ataku na Ukrainę w lutym 2022 r., po którym Zachód obłożył Moskwę sankcjami, utrudniając eksport surowców energetycznych.

Rosyjska ropa wróciła do łask

Po wybuchu wojny na Bliskim Wschodzie i zablokowaniu cieśniny Ormuz, przez którą przepływa 20 proc. zużywanej na świecie ropy, popyt na surowiec z Rosji gwałtownie wzrósł. Wraz z nim w górę poszły także ceny. W marcu Kreml sprzedawał ropę średnio po 78,4 dol. za baryłkę, o ponad 70 proc. drożej niż miesiąc wcześniej. W lutym w położonym nad Bałtykiem Primorsku gatunek Urals kosztował 40 dol. za baryłkę i był to najniższy poziom od trzech lat. Na początku kwietnia cena przekroczyła 100 dol. za baryłkę i była najwyższa od 13 lat.

Zwiększone przychody to także efekty większej ilości sprzedanej ropy i produktów na rynkach zagranicznych. W marcu eksport wzrósł do 7,1 mln baryłek wobec 6,8 mln baryłek dziennie w lutym. W znalezieniu nabywców pomogło zawieszenie niektórych amerykańskich sankcji. Zgodnie z decyzją Departamentu Skarbu USA od 12 marca można było bez ograniczeń kupować rosyjską ropę załadowaną wcześniej na statki, bez narażania się na reperkusje ze strony Stanów Zjednoczonych. Zawieszenie wygłosił w sobotę, 11 kwietnia.

Zapotrzebowanie na rosyjską ropę w szczególności wzrosło w Azji, do której trafiała większość surowca przepływającego przez cieśninę Ormuz. Najwięcej rosyjskiej ropy – ok. 2 mln baryłek dziennie – kupowały w marcu Indie, przebijając pod tym względem Chiny, które po ataku

na Ukrainę stały się największym odbiorcą rosyjskich surowców energetycznych.

Na przełomie lat 2025 i 2026, gdy Stanom Zjednoczonym udało się nakłonić Indie do ograniczenia importu z Rosji, rynek zbytu dla Moskwy istotnie się skurczył. W lutym Kreml wyeksportował niespełna 6,8 mln baryłek ropy i jej pochodnych, najmniej od ataku na Ukrainę. Jednocześnie do rekordowego poziomu 120 mln baryłek wzrosła ilość surowca znajdującego się na morzu. Część ładunków nie miała ani określonego nabywcy, ani portu docelowego.

Atak na Iran odwrócił sytuację o 180 stopni, a po rosyjską ropę ustawili się w kolejce nowi nabywcy. Pod koniec marca pierwsze od pięciu lat dwa ładunki gatunku ESPO kupiły Filipiny. Negocjacje w sprawie zakupu podjęły także m.in. Wietnam, Tajlandia i Indonezja.

Budżet jeszcze w kryzysie

Ta hossa nie znalazła jeszcze odbicia w budżecie federalnym. Jak wynika z informacji podanych przez rosyjskie ministerstwo finansów, w marcu przychody budżetu związane z ropą i gazem wyniosły 617 mld rubli (7,8 mld dol.). Kwota była o jedną czwartą niższa od planowanej. W porównaniu z zeszłym rokiem roku przychody obniżyły się o 43 proc.

Już od dłuższego czasu Rosja deklaruje, że zamierza ograniczyć finansową zależność od przychodów z wydobycia węglowodorów. W zeszłym roku z tego tytułu pochodziło 22 proc. wpływów do publicznej kasy, wobec 46 proc. w 2018 r. Problem jest jednak taki, że gdy spadają wpływy związane z ropą i gazem, w budżecie pojawia się deficyt. W zeszłym roku, po tym, jak cena eksportowanej ropy spadła do 52 dol., finanse publiczne (budżet centralny, budżety regionów i saldo pozabudżetowych funduszy) znalazły się 8,3 bln rubli na minusie (108 mld dol.), co stanowiło równowartość 3,9 proc. PKB.

Finansowanie deficytu jest dla Rosji kłopotliwe z dwóch powodów. Pożyczanie pieniędzy jest drogie ze wzglę-

du na stopy procentowe na poziomie 15 proc. Jeszcze w zeszłym roku, gdy bank centralny starał się zbić dwucyfrową inflację, koszt pieniądza sięgał 21 proc. W rezultacie koszt obsługi długu jest w ostatnich latach najszybciej rosnącą kategorią wydatków budżetowych, nie wyłączając obronności. Rosja jest także odcięta od zachodnich rynków finansowych i musi poradzić sobie z deficytem, niemal wyłącznie wykorzystując krajowe zasoby.

Na początku 2026 r., wraz z dalszym spadkiem cen ropy, która odpowiada za ok. 80 proc. przychodów wynikających z podatku od wydobycia węglowodorów (pozostałe 20 proc. związane jest z gazem), kryzys finansów publicznych jeszcze się zaostrzył. W I kw. deficyt budżetu federalnego wyniósł 4,6 bln rubli (61 mld dol.), przekraczając o 1,2 bln rubli plan na cały rok.

Czas liczenia zysków

Przychody budżetu w marcu były niskie, ponieważ stan publicznej kasy jest odbiciem stanu realnej gospodarki sprzed miesiąca. Ale w kwietniu sytuacja będzie zupełnie inna. Agencja Reutersa szacuje, że przychody z podatku od wydobycia podwoją się. Niemiecko-rosyjska izba gospodarcza szacuje dodatkowe przychody do publicznej kasy w 2026 r. w związku z irańską wojną na 70–72 mld dol. Według ukraińskiego ośrodka badawczego KSE Institute kwota ta może wynieść nawet 97 mld dol.

Ministerstwo Finansów oszacowało, że w tym roku Rosja będzie eksportować swoją ropę średnio po 59 dol. za baryłkę, przy cenie gatunku Brent na poziomie 70 dol. Założenie, że różnica między obydwoimi gatunkami wyniesie zaledwie 11 dol. na baryłkę, jeszcze w lutym, gdy Urals był tańszy od Brent o 25–30 dol., wyglądało na oderwane od rzeczywistości. Jednak pod wpływem blokady cieśniny Ormuz indyjskie rafinerie kupowały rosyjski surowiec z premią względem Brent sięgającą nawet kilkunastu dolarów na baryłkę. Wydaje się, że proporcje między cenami obydwu gatunków nie wrócą do normy, mimo odwieszenia amerykańskich sankcji, dopóki jest zablokowana cieśnina Ormuz.

Nadzwyczajne zyski, które ostatecznie zasilą budżet Kremla, będą zależę od długości bliskowschodniego konfliktu. Ale nawet gdyby miał się zakończyć już teraz, dostawy z Zatoeki Perskiej jeszcze przez dłuższy czas nie wrócą do normy. Zarówno ze względu na możliwe ograniczenie w żegludzie przez cieśninę, jak i z uwagi na już dokonane zniszczenia w infrastrukturze. Większość sporządzonych po ataku na Iran prognoz zakłada, że średnia cena gatunku Brent przekroczy w tym roku 80 dol.

Ukraińskie drony niszczą porty

Zyski Rosji byłyby jeszcze większe, gdyby nie najbardziej intensywne od 2022 r. ataki ukraińskich dronów

na infrastrukturę związaną z przerobem i transportem ropy. Kijów zniszczył m.in. 40 proc. magazynów ropy w Primorsku. Najważniejszy rosyjski port, który może eksportować ponad 1 mln baryłek dziennie, nie pracował przez kilka dni. Wielokrotnie atakowana Ust-Ługa wstrzymała załadunki na ponad tydzień. Obydwa bałtyckie porty funkcjonowały w drugiej połowie marca z najniższą wydajnością od początku wojny. W apogeum ukraińskich ataków nie działało nawet 40 proc. rosyjskich instalacji eksportujących ropę naftową. Mimo to zagraniczna sprzedaż ropy wzrosła ze względu na zwiększony popyt na ropę znajdującą się na morzu.

Problemy Rosji z eksportem nasilają się od końca stycznia, gdy został uszkodzony ropociąg Przyjaźń, zapatrujący Słowację i Węgry. Dodając do tego ataki na rafinerie, Kreml został zmuszony do ograniczenia produkcji ze względu na problemy ze składowaniem surowca. W lutym wydobycie spadło do 8,7 mln baryłek dziennie i było o 0,8 mln niższe niż limity przyznane Rosji w ramach organizacji OPEC+. W marcu produkcja zbliżyła się do 9 mln baryłek dziennie, ale w dalszym ciągu znacznie odbiega w dół od wyników z poprzednich lat. Według MAE w tym roku Rosja będzie w stanie zwiększyć wydobycie maksymalnie do 9,3 mln baryłek dziennie.

Mimo tych wszystkich ograniczeń tegoroczne przychody Rosji z tytułu eksportu ropy KSE Institute szacuje na 229 mld dol. W porównaniu z 2025 r. oznacza to wzrost o ponad 40 proc. Gdyby nie wybuchła wojna na Bliskim Wschodzie, kwota ta mogła spaść do 115 mld dol. Dodatkowe przychody budżetu powinny zawiązką pokryć zanotowany po I kw. deficyt. Odbiciem skali potencjalnych problemów budżetu było planowane na ten rok ograniczenie wydatków na obronność do 13 bln rubli z 13,5 bln w zeszłym roku. Choć różnica jest symboliczna, to jednak odpowiedniego kontekstu dostarcza wzrost wydatków na ten cel w tempie 40 proc. na rok w latach 2021–2025. Według szacunków ekspertów od 40 proc. do 50 proc. budżetu federalnego Rosja przeznaczona na finansowanie wojny z Ukrainą. I nie będzie musiała w tym roku zastanawiać się nad oszczędnościami.

W opublikowanej w marcu analizie eksperci Stockholm International Peace Research Institute zwracają uwagę, że nawet gdyby sytuacja na rynku ropy nie poprawiła się, to i tak Kremlowi nie zabrakłoby – ani teraz, ani w przyszłości – pieniędzy na finansowanie wojny w Ukrainie. Jednak kurczące się zasoby mogły wpływać na intensywność działań zbrojnych i skłonność prezydenta Władimira Putina do zawarcia pokoju. Teraz te skutki zostaną odłożone poza 2026 r. ©©



Więcej tekstów tego autora
Skanuj kod! DGP.pl

Półwiecze zdrad

Ustalenie nowego status quo między USA a Iranem w ciągu kilkudziesięciu godzin rozmów może nie być możliwe. Obie strony wiele zrobiły, żeby przez kilka dekad od rewolucji całkowicie zniszczyć zaufanie do siebie nawzajem

Mariusz

Janik

Gra wciąż się toczy – powiedział reporterom brytyjskiego dziennika „The Guardian” anonimowy pakistański rozmówca. Potwierdził w ten sposób, że ubiegłotygodniowe – niezbyt udane – rozmowy w Islamabadzie były rekonesansem przed prawdziwą batalią o nowe status quo w Zatoce Perskiej. – Powinna pani zostać – poradził z kolei w połowie tygodnia Donald Trump reporterce dziennika „The New York Post”, która pojechała do Pakistanu relacjonować negocjacje.

Wszystko za sprawą mediacji, jakich podjęli się szef pakistańskiej armii marszałek Asim Munir oraz pakistański premier Szehbaz Szarif, który w tym tygodniu objechał Arabię Saudyjską, Katar i Turcję, szukając argumentów pozwalających osiągnąć jakąś formę kompromisu. Trump szczególnie cenił tego pierwszego, określając go mianem „mojego ulubionego marszałka”.

Problem w tym, że pakistańscy mediatorzy muszą przełamać liczące sobie niemal pół wieku pasmo obojętności, ignorancji, kłamstw i zdrad, które zafundowali sobie decydenci z Waszyngtonu i Teheranu.

Zbyt wielu Amerykanów

„Zadanie, przed którym stał prezydent [Jimmy] Carter, było wyjątkowo trudne. Wiele z jego najlepszych źródeł wywiadowczych dostarczało mu wyjątkowo błędnych (...) obrazków z Iranu. A Carter (...) powtarzał błędne wnioski (...)” – opisywał ekspert ds. amerykańskiej polityki zagranicznej i Bliskiego Wschodu James A. Bill w książce „The Eagle and the Lion. The Tragedy of American-Iranian Relations”.

Chaos pogłębiało to, że polityką USA wobec Iranu próbowało zawiadywać kilka ośrodków: Departament Stanu; Narodowa Rada Bezpieczeństwa ze Zbigniewem Brzezinskim na czele; swoje trzy grosze wtrącały Departamenty Obrony, Energii i Skarbu; własną grę prowadziła CIA. Carter „zawetował jakiegokolwiek bezpośrednie kontakty Ameryki z [ajatollahem Ruhollahem] Chomejnim, które rekomendowali najbardziej kompetentni doradcy Białego Domu (...). Po tym, jak poważnie roz-

ważał wysłanie misji do przebywającego w Paryżu Chomejniego, (...) prezydent wycofał się z pomysłu za sprawą Brzezinskiego, który przy pomocy tworzenia biurokratycznych przeszkód i intryg ukatrupił pomysł” – przywołuje jeden z przykładów Bill.

Po wybuchu rewolucji niezdecydowanie miało się srogo zemścić. Waszyngton szybko postawił na polityków, którzy pojawiali się na świeczniku w pierwszych miesiącach kryzysu: ostatniego premiera mianowanego przez szacha, pierwszego mianowanego przez rewolucjonistów, pierwszego prezydenta wybranego przez Irańczyków. Tego ostatniego CIA próbowała już zwerbować, gdy towarzyszył Chomejnemu w Paryżu. Wydawałoby się, że był to oczywisty wybór: wszyscy reprezentowali środowisko rewolucjonistów wykształconych na Zachodzie, w sporej mierze zwesternizowanych. I jako tacy niemal od momentu objęcia eksponowanych funkcji byli na celowniku ludzi Chomejniego. W szybkim tempie przekonali się, że piastowane przez nich urzędy wiążą się z iluzoryczną władzą, a realne decyzje zapadają w kręgu najbliższych zwolenników ajatollaha.

Tymczasem kontakty USA z tym kręgiem sprowadzały się do niezobowiązujących rozmówek z urzędnikami z drugiego czy trzeciego szeregu irańskiej dyplomacji – z jastrzębim ajatollahem Behesztim czy gołębiem ajatollahem Montazerim. Inni wykorzystywali spotkania do pouczania mułłów na temat zimnej wojny i zagrożeń ze strony Moskwy. Ogłoszono szereg nieudanych, nigdy nie zrealizowanych „misi”, do jakich rwali się niektórzy amerykańscy senatorzy i zlekceważonych rekomendacji części dyplomatów z placówek na Bliskim Wschodzie. Jeden z przedstawicieli amerykańskiej administracji w regionie w telegramie do Waszyngtonu uderzył się w piersi. „Zbyt wielu Amerykanów było zbyt widocznych w zbyt wielu aspektach życia w Iranie” – napisał. Amerykański ambasador w Teheranie określił Chomejniego jako kogoś „w typie Gandhiego”, co nie tyle miało charakteryzować pacyfizm ajatollaha, ile odzwierciedlać jego rzekomą niechęć do twardej polityki i realnej władzy.

W efekcie w kluczowym dla rewolucji pionierskim okresie nikt nie podjął kontaktu z rzeczywistym przywódcą. Zamiast tego wyraźnie postawiono



na świeckich aliantów ajatollaha, z którymi on właśnie zaczynał rozprawę.

Sztuka falstartu

Dyskretne lądowanie 22 października 1979 r. niewielkiego samolotu na nowojorskiej LaGuardii można uznać za przekroczenie granicy. Carter odwlekał decyzję w sprawie przyjęcia szacha w USA przez dziewięć miesięcy i w końcu podjął ją prawdopodobnie w sposób dosyć impulsywny, jakby machnął ręką. Tymczasem w Teheranie zawrzało.

Nieco ponad tydzień później doszło do spotkania na bardzo wysokim szczeblu – w apartamencie w Algierze uściśli sobie (zapewne) ręce Zbigniew Brzezinski z kilkoma bliskimi doradcami oraz premier Mehdi Bazargan, w asyście szefa dyplomacji irańskiego reżimu i ministra obrony (późniejszego pierwszego dowódcy Korpusu Strażników Rewolucji). Nawet po wielu la-

tach nie ma pewności, kto zainicjował tę kilkugodzinną pogawędkę; najwyraźniej obu stronom zależało na tym, by tę drugą zaprezentować światu jako potentata.

Nie wiadomo też, jaki był przebieg rozmowy. Brzezinski był w administracji Cartera jastrzębim: przed rewolucją nalegał, by szach użył przeciw demonstrantom całego aparatu siłowego państwa, po rewolucji zniechęcał do kontaktów z Teheranem. Świecy adwersarze, którzy spotkali się z nim w Algierze, wydawali się mniejszym złem, ale chyba dla wszystkich poza delegacją z Białego Domu było jasne, że mają coraz mniej do powiedzenia w Iranie. Po latach James A. Bill określił negocjacje w Algierze jako „olbrzymi błąd”. „Potajemne spotkanie (...) szybko wyszło na jaw, z dramatycznym efektem w Teheranie” – skwitował Mark Bowden, autor książki „Guests of the Ayatollah. The First Battle in America's War with Militant Islam”. – „W oczach [irańskich] studentów potwierdzało

Szef personelu Białego Domu przywdział perukę, sztuczny wąs i okulary – i poleciał do Paryża, by potajemnie negocjować zwolnienie zakładników z ambasady



Amerykański zakładnik
w rękach irańskich studentów.
Teheran, 1 listopada 1979 r.

cji w zarządzaniu kryzysem w Teheranie – i zwolnienie zakładników w takim momencie i w taki sposób, by splendor spłynął na Ronalda Reagana. Co okazało się, skądinąd, postawieniem na złego konia.

Rakiety za zakładników

„Chomejni był częstym tematem rozmów na zebraniach w Białym Domu. Uważano, że jeśli to możliwe, powinien być usunięty” – pisał nestor amerykańskiego dziennikarstwa śledczego Bob Woodward w książce „Tajne wojny CIA”. – „Caseya [William Casey, ówczesny szef CIA] poproszono, aby dowiedział się, czy nie można podjąć tajnej akcji w celu obalenia Chomejniego i zastąpienia go Rezą Pahlawim, młodszym synem zmarłego szacha. Kiedy Casey przedstawił ten pomysł (...) wszystkie twarze poszarzały. Iran był dzieckiem diabła, a rodzina Pahlawi jeszcze gorsza. W dyrekcji operacji nikt nie chciał mieć z tym nic do czynienia” – dorzucił Woodward.

Wkrótce uwaga Reagana i jego ekipy miała się skoncentrować na Mu’ammarze al-Kaddafim, więc „szalony mułła z Teheranu” zszedł na drugi plan. Waszyngton wspierał irańską opozycję – od monarchistów, przez zdradzonych i wyrzuconych z Iranu mudżahedinów ludowych po antyreżimowe media i wojującego z Iranem Saddama Husajna – ale też zarzucił pomysły przewrotu. Ba, po jakimś czasie wręcz narodziła się koncepcja wykorzystania Irańczyków do rozwiązania innych problemów Ameryki.

Pretekstu dostarczył Liban: wojna domowa w tym kraju u progu lat 80. weszła w szczególnie brutalną fazę, podkreconą dodatkowo izraelską interwencją. Czerwone lampki w Waszyngtonie zapaliły się po zamachach na ambasadę USA w Bejrucie, tamtejsze koszary marines i francuskich żołnierzy. Do tego w latach 1982–1992 na terenie tego kraju porwano w sumie 104 osoby, w tym 25 Amerykanów. Porywacze, choć zacierali swoje powiązania, niewątpliwie współpracowali z Hezbołlahem i jego aliantem, Iranem. Pierwsze próby ich uwalniania, poprzez siatkę powiązaną z podziemiem narkotykowym, spęzły na niczym: ktoś przyjął 200 tys. dol. gotówką, efektu nie było.

Skuteczniejszy okazał się z czasem kanał związany z międzynarodowym handlem bronią. Niecodziennym narzędziem okazał się Manuczer Ghorbanifar, sporadycznie współpracujący z CIA od 1974 r. „Ni to biznesmen, ni polityk, był jednym z tych aktorów kręcących się blisko kulis wywiadu. Jednak, gdy tylko pojawiał się z kwiatami, drzwi zatrzaśkiwały mu się przed nosem” – wytyka Woodward. Sprzedawał nieprawdziwe informacje, proponował współpracę w zamian za wolną rękę w sprawie handlu narkotykami na da-

nym obszarze, pasjami zmyślał. Ale był brokerem transakcji, w ramach której Izrael sprzedał wojującemu z Saddamem Iranowi partię pocisków TOW. Miał też pomysł, jak wciągnąć do kolejnej takiej operacji Amerykanów, którzy przy okazji dostawy postawili dodatkowy warunek: zwolnienie jednego z zakładników.

I tak rozkręcił się mechanizm, który przeszedł do historii jako afera Iran-contras. Izraelskie i amerykańskie pociski wędrowały do Iranu, Teheran czasem zwalniał któregoś z zakładników, a przede wszystkim – płacił. A nawet przepłacał, bo CIA zostawały po tych transakcjach miliony dolarów kierowane na nieformalne wsparcie nikaraguańskich contras. Po pewnym czasie na orbicie administrujących całym procederem urzędników z Waszyngtonu pojawił się bratanek ówczesnego przewodniczącego Madżlisu Alego Akbara Haszemiego Rafsandżaniego, a szef Narodowej Rady Bezpieczeństwa w gabinecie Reagana, Robert McFarlane, nie tylko szykował się do spotkania z nim w Europie, ale zaczął też potajemnie przyjeżdżać do Teheranu. Efekty były jednak mizerne: liczący niemal pół tysiąca stron raport komisji śledczej Kongresu „The Iran-Contra Affair” z 1988 r. wskazuje m.in. że McFarlane nigdy nie spotkał się z Rafsandżanem, a przy poszczególnych transakcjach Irańczycy zamiast kilku planowanych zakładników zwalniali np. jednego.

Wielka zmarnowana okazja

Na długie lata Iran stał się gorącym kartoflem. Dyplomacja sprowadzała się do wymiany obelg, od „wielkiego szatana” po „szalonych mułłów”. Zresztą nic nie popychało do jakiegokolwiek normalizacji relacji z Teheranem – w 1989 r. tej samej nocy, gdy Polacy szykowali się do pierwszych po prawie półwieczu komunizmu wolnych wyborów, w Teheranie zmarł Chomejni. Jego następca Ali Chamenei, wcześniej prezydent, słynął przede wszystkim z braku charyzmy i silnej pozycji politycznej. Chameneiego zastąpił na stanowisku prezydenta Rafsandżani, nazywany dla kontrastu „Rekinem” ze względu na bezwzględność i skłonność do intryg. Ale odbudowa kraju po wojnie z Irakiem się ślimaczyła, a młodzi Irańczycy wyczekiwaliby szansy na zmiany, którą wydawał się wybór na kolejnego prezydenta Mohammada Chatamiego w 1997 r. – okrzykniętego wówczas „mułłą Gorbaczowem” lub „uśmiechniętym ajatollahem”.

O ironio, chyba nic tak nie zmiękczyło Teheranu, jak kilkanaście lat objętości Waszyngtonu na wykrzykiwane na wiecach „Śmierć Ameryce!”. Po zamachach 11 września Iran pospieszył z pomocą Amerykanom, dzieląc się informacjami na temat talibów (skonfliktowanych z szyickimi Irańczykami). Przez chwilę mogło wyglądać na to, że dawni wrogowie zaczną się dogadywać. Ale kilka miesięcy później w Białym Domu wykuto koncepcję „osi zła”, do której zaliczono Iran, a satelity wypatrzyły w Natanz pod Isfahanem, w środkowym Iranie, tajemniczą >

ono, że Ameryka jest zdeterminowana bronić swojej kolonii i przywrócić szacha na tron” – dodawał.

Historycy w zasadzie są zgodni, że atak na ambasadę USA w Teheranie był planowany od dłuższego już czasu, ale tajny „szczyt” w Algierze był jedną z iskier, które podpały lont. Cztery dni po spotkaniu Brzezinskiego z Irańczykami tłum wdarł się na teren placówki, „studenci wierni linii Imama [Chomejniego]” wzięli zakładników, a przejęte przez nich dokumenty zaczęły ujawniać swoje tajemnice. Irańczycy dowiedzieli się z nich m.in. o roli USA w zamachu stanu w 1953 r., o pomysłach na to, by armia wytrąciła rewolucjonistom władzę z rąk, czy o tym, że amerykańscy i radzieccy dyplomaci w miesiącach przed rewolucją spotykali się na dyskretnych obiadkach w restauracjach Teheranu, by porównywać swoją ocenę sytuacji w kraju i szanse Chomejniego na obalenie szacha.

Dyplomatyczny rollercoaster został wprawiony w ruch, ale początkowo wydawało się, że da się go zatrzymać. Ba, szef personelu Białego Domu przywdział perukę, sztuczny wąs i okulary – i w tym przebraniu poleciał do Paryża, by potajemnie negocjować zwolnienie zakładników z ambasady. Irańczycy żądali głowy szacha, czy właściwie ekstradycji, ale z czasem zaczęli przystawać na inne propozycje – zwłaszcza

stworzenie międzynarodowej komisji mającej ocenić rolę, jaką USA odgrywały dotąd w Iranie. W lutym 1980 r. wiceprezydent Walter Mondale pokusił się nawet w wywiadzie o zapowiedź „zbliżającego się końca kryzysu”.

Trudno przeliczyć się bardziej. Wkrótce później Chomejni – którego pierwsza reakcja na zajęcie ambasady brzmiała „wykopać ich” (pod adresem napastników), ale szybko przeobraziła się w afirmację – ogłosił, że o losie zakładników zdecyduje Madżlis (wtedy nawet niewybrany). Nawet umiarkowani, świeccy rewolucjoniści zaczęli się wycofywać z postulatów szybkiego zażegnania kryzysu. A kilka tygodni później misja odbicia zakładników legła w gruzach, gdy amerykańskie helikoptery powpadały na siebie podczas burzy piaskowej nieopodal Teheranu.

Amerykani już nie usiedli z Irańczykami do bezpośrednich rozmów. Kryzys zakończyli mediatorzy algierscy, którzy kursowali między stronami konfliktu. Finalnie Irańczycy nie dorwali szacha, ale wynegocjowali odmrożenie niemal 8 mld dol. na amerykańskich kontaktach, wycofanie pozwów złożonych w Ameryce przeciwko Iranowi oraz pisemną deklarację, że USA nie będą się mieszać do wewnętrznych spraw kraju. Wisienką na torcie była wyborcza porażka Cartera – w sporej mierze za sprawą blamażu jego administra-

fabrykę, którą szybko zidentyfikowano jako ośrodek wzbogacania uranu.

Teheran wybrał unik. Gdy do Iranu chciała się wybrać delegacja inspektorów z Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (MAEA), długo ich zbywano. „Prezydent Chatami był w podróży, innym razem był niedysponowany lub wybrany termin okazał się nieodpowiedni. To trwało miesiącami” – pisał Mohamed el-Baradei, szef MAEA, we wspomnieniach „Gra pozorów. Arsenał nuklearny a dyplomacja”. Strategia negocjacyjna Iranu sprowadzała się do zażartej obrony przed każdym zarzutem: program powstaje wyłącznie z myślą o energetyce cywilnej, olbrzymie powierzchnie ośrodków zostały zaplanowane na wyrost, wirówki są produkowane lokalnie, uran pochodzi nie wiadomo skąd, a firmy, które MAEA chciała sprawdzić, nie mają z programem nic wspólnego. Irańczycy przyznawali się do czegokolwiek dopiero wtedy, gdy agencja przedstawiała im zdobyte niezależnie dowody.

Ale wiosną 2003 r. – kilka tygodni po obaleniu przez USA Saddama Husajna – Teheran wykonał desperacki zwrot. „Do Waszyngtonu dotarł dziwny dokument. Miał postać faksu, na zgrzebnym papierze, przesłanego przez ambasadora Szwajcarii w Teheranie” – opisywał reporter stacji PBS. W fakcie wyłożono koncept „wielkiej okazji”: porozumienia między Iranem a USA, w ramach którego Teheran odstąpi od swojego programu nuklearnego i wsparcia dla ugrupowań terrorystycznych, a nawet zapowiada odejście od wrogości wobec Izraela. W zamian chce zniesienia sankcji, gwarancji bezpieczeństwa dla reżimu i całego kraju.

Nic nie wskazuje dziś na to, by „wielka okazja” spotkała się z jakimkolwiek odzewem Waszyngtonu. Interpretacje bywają różne, od najprostszyc – że faks utonął w zalewie papierów walających się po biurach Departamentu Stanu, aż po tę, która zakłada, że Biały Dom na fali euforii po błyskawicznym usunięciu Saddama po prostu nie miał najmniejszego zamiaru iść na ustępstwa wobec Teheranu. Co więcej, El-Baradei wspomina, że ilekroć agencja zaznaczała, że mimo wszelkich „mactw” nie ma dowodów na militarny charakter irańskiego projektu, z Waszyngtonu dobiegał gniewny pomruk urzędników, jak np. podsekretarza stanu Johna Boltona, uchodzącego wówczas za czołowego jastrzębia administracji George’a W. Busha (dziś, paradoksalnie, surowy krytyk Donalda Trumpa).

Sukces bez rozgłosu

Niewiele da się ugrać, jeśli na negocjacje przeznaczony jest kilkanaście godzin. Ale efekty nie są lepsze, jeśli rozmowy toczą się latami. W 2005 r. w Iranie odbyły się wybory prezydenckie i władzę od gołębia Chatamiego przejął jastrząb Mahmud Ahmadineżad. Zaciekle antyizraelski, głęboko konserwatywny, grający na mesjańską nutę – polityk ten uczynił z programu nuklearnego punkt honoru Iranu jeszcze w swojej kampanii.

Obie strony podbiły stawkę: Irańczycy wyraźnie przyspieszyli prace nad programem i żądali rozmów z Amerykanami. Straszakiem był Irak, w któ-

rym z każdym rokiem rosły wpływy szyckiego sąsiada. Waszyngton odmawiał, domagając się wprawdzie ustępstw ze strony Teheranu, odwołując się do każdego irańskiego opóźnienia – rozmów, inspekcji, dostarczenia dokumentów – jako dowodu złych intencji, a w amerykańskich mediach zaroilo się od wrzutek zapowiadających, że Irańczycy „będą mieć bombę w ciągu kilku/kilkunastu miesięcy”. El-Baradei twierdzi, że jego próby mitygowania uczestników rozmów napotkały w pewnym momencie sugestię, że USA nie będą się dokładać do budżetu instytucji, która „politykuje”. Prezydent Bush, który w 2005 r. miał (teoretycznie) rozważyć spotkanie z Najwyższym Przywódcą Iranu Alim Chameneim, trzy lata później co rusz wspominał o „irańskim holokauście”.

W USA zmieniła się administracja – ale choć ekipa Baracka Obamy była skłonna rozwiązać konflikt na drodze dyplomacji, nie przyspieszyło to rozmów. „Chcą zniszczyć Izrael” – powtarzano w Waszyngtonie; „Drażnią ich rosnące wpływy Iranu” – przestrzegano w Teheranie. – Jestem przyjacielem USA i Izraela – nieoczekiwanie zadeklarował prezydent Francji Nicolas Sarkozy, wchodząc do rozmów. Już nie wspominając o filipikach Ahmadineżada na temat Izraela.

Po 2009 r., po reelekcji Ahmadineżada, która skończyła się potężnymi protestami i represjami wobec opozycji oraz frakcji reformatorskiej, negocjacje praktycznie ustały. I tak było do 2013 r. i kolejnej zmiany prezydenta w Iranie – Ahmadineżada zastąpił Hasan Rohani, dekadę wcześniej jeden z kluczowych uczestników rozmów firmowanych przez MAEA. Tym razem rozmawiano bez rozgłosu i bez większego pośpiechu – m.in. w Wiedniu, Genewie, Lozannie, Monachium, Nowym Jorku, Muskacie – przez bite 20 miesięcy. Komunikaty po spotkaniach były lapidarne, ale same rozmowy odbywały się w spokojnej atmosferze i bez prowokacyjnych oświadczeń uczestników czy ich zwierzchników. Ulga? Oczywiście, ogłoszony latem 2015 r. Joint Comprehensive Plan of Action przyniósł ją zapewne obu stronom. Dwa lata później Donald Trump ogłosił, że Iran nie wywiązuje się ze zobowiązań, choć zarówno Europejczycy partnerzy porozumienia, jak i MAEA uznali, że jednak to robi.

W ten sposób amerykańsko-irański dyplomatyczny rollercoaster śmiga już od prawie pół wieku. Ilekroć nawet jednemu z jego pasażerów zbierze się na nudności i chce instalację zatrzymać, to ten drugi tylko przyspiesza. Wzajemne obelgi od dawna są częścią tej gry, oczekiwana i odwzajemniana rutynowo. Ukrywanie realnych intencji, pozowanie na silniejszego niż się w rzeczywistości jest, teatr fochów i ironicznych uśmiezków wchodzą do arsenału środków wyrazu w tych rozmowach. I tylko rachunek za kolejną przejażdżkę tą kolejką przyjdzie teraz zapłacić całemu światu. ©©



Więcej tekstów tego autora
Skanuj kod!
DGP.pl

Kraj

Wszystkich nas nie powyrzucają

Ten rząd robi wiele złego, ale czyjeś grzechy nie usprawiedliwiają naszych grzechów. Zresztą przyszli koalicjanci – niezależnie, czy spod znaku Konfederacji, czy ewentualnie PSL – nie chcą wspierać polityki zemsty

Z Krzysztofem

Szczuckim

rozmawia
Marcin Fijołek, Polsat

Pan z tego zawieszenia chyba już nie wyjdzie.

Może nie będzie tak źle. (śmiech) Myślę, że mam szansę wrócić, bo uważam, że to zawieszenie jest bezpodstawne i niesłuszne. Mam nadzieję, że prędzej czy później kierownictwo Prawa i Sprawiedliwości dojdzie do podobnego wniosku.

Prędzej takich jak pan wyrzucą, a nie przywrócą. Przecież tym nowym stowarzyszeniem tylko drażnicie sporą część kierownictwa PiS.

Jeśli tak jest, to mamy do czynienia z kompletnym nieporozumieniem. Zaczniemy od początku. Spójrzmy na nazwę stowarzyszenia: Rozwój Plus. Podstawowym celem jest docieranie do środowisk, które z różnych przyczyn nie są dziś w zasięgu Prawa i Sprawiedliwości.

Ilu was jest na starcie?

Prawie 40 parlamentarzystów, ale stowarzyszenie to nie tylko posłowie czy europosłowie – są też samorządowcy, przedsiębiorcy, wielu zwykłych obywateli. To dopiero start, dopiero złożyliśmy dokumenty do oficjalnej rejestracji. Sam mam honor być wśród członków założycieli.

I jako pierwsi zostaniecie wzięci na celownik przez Nowogrodzką. Jeśli Mariusz Błaszczak mówi,

że takie stowarzyszenie to furka do dezintegracji PiS, to wiemy, czym się to skończy.

Nie akceptuję tych powieści. Upředzę pana pytanie: prezes Jarosław Kaczyński wcale nie wydał zakazu tworzenia stowarzyszeń. Swoją drogą stałoby to w sprzeczności z samą nazwą partii i wartością wolności zrzeszania się. Wielu posłów PiS funkcjonuje w różnych stowarzyszeniach. Nasi koledzy z dawnej Solidarnej Polski mają nawet fundacje...

...których konta były ostatnio głośnym tematem.

I jakoś nikt nie załamuje rąk, nie pyta, po co takie stowarzyszenia istnieją.

Ale nie udawajmy, że spór w PiS nie nabrzmiewa. Jeśli Mateusz Morawiecki mówi dziś: „Tworzę własne struktury”, jest to czytelny znak.

Czuję, że mi pan nie uwierzy, ale my naprawdę nie budujemy niczego na kontrze do PiS. Chcemy dalej być w partii, lecz nie zgadzamy się na zawężanie przekazu. Podejmujemy się misji dotarcia do ludzi, do których dziś nie dociera przekaz z mainstreamu PiS. Nie kwestionujemy kandydatury Przemysława Czarnka, wspieramy go, jednak chcemy rozmawiać o różnych tematach i w nieco inny sposób. Sam będę odpowiadać za wymiar sprawiedliwości.

Upieram się, że wasza inicjatywa jest jednoznacznie negatywnie odczytywana przez władze partii. Rzecznik PiS Rafał Bochenek mówi, że zakładane przez członków partii stowa-

WYWIAD

rzyszenia nie mogą się opierać na parlamentarzystach. Powtórzę: stowarzyszeń, w których działają posłowie PiS, jest dużo więcej. Jeśli do wypowiedzi takich jak te, które pan zacytował, mamy podchodzić poważnie, to czy powinniśmy wymusić na innych politykach PiS, żeby polikwidowali swoje stowarzyszenia albo się z nich wypisali?

Jakkolwiek by spojrzeć, macie problem. Nie, to nie jest problem, bo stowarzyszenie zakładamy bez względu na jedno czy drugie oświadczenie, wywiad albo wpis na X. Mateusz Morawiecki rozmawiał o tym pomysłem z Jarosławem Kaczyńskim. To też powinno przecinać sprawę.

Nie przecina, bo głosy Bochenka czy Błaszczaka to głosy w imieniu prezesa. Przecież wie pan lepiej niż ja, jak funkcjonuje wasza partia. Wie pan co? Wiele razy słyszałem, że ktoś powoływał się na rzekome słowa prezesa, a on ich później nie potwierdzał. Rozumiem i daję prawo politykom PiS do krytycznych opinii, ale nawet statut partii w żadnym paragrafie nie wyklucza zakładania stowarzyszenia.

Czujecie się wypychani z PiS? Wyraźnie widzę, że pewnie są grupy w PiS, które chciałyby nas wypchnąć. Obserwuję to nawet w skali swojego okręgu wyborczego. Są tacy, którzy kalkulują, że beze mnie na liście wyborczej łatwiej im będzie za półtora roku zdobyć mandat, bo spodziewają się, że może być ich mniej niż obecnie. Mimo wszystko uważam, że możemy zaważać o zwiększenie liczby mandatów. Wypychanie wewnętrznej konkurencji w imię troski o własny interes to działanie, na które zaciera ręce Donald Tusk. Musimy ryzykować. To jest zresztą logika Jarosława Kaczyńskiego od 2014 r., gdy zaprosił na listy PiS Jarosława Gowina i Zbigniewa Ziobrę i ich ugrupowania. Wszystkich nas nie pozawieszają ani nie powyrzucają. Po co komuś w PiS konkurencyjny klub w Sejmie półtora roku przed wyborami?

Musicie mieć plan B. Z planów B to słynie Waldemar Żurek i nie wychodzi na tym dobrze (śmiech). Nie tworzymy planów B, jesteśmy w PiS. Ale trzeba myśleć szerzej: mimo całej wiary w naszą partię o samodzielnej większości będzie trudno. Musimy mieć z tyłu głowy scenariusz poszerzenia bazy społecznej. Nie chcę znowu przeżywać tego, co w 2023 r.

Chciałem zapytać o klincz w Trybunale Konstytucyjnym, ale mam poczucie totalnego zmęczenia tematem. Wałkujemy to od dekady. Doskonale rozumiem to zmęczenie. Trzeba wyjść do przodu – inaczej utknijemy bez żadnych konkluzji, przypominając kolejne decyzje wydawane od 2015 r. i środowiska zaangażowane w pogłębianie chaosu.

Pana środowisko też go pogłębiało.

Tak. Ale niech historia i historycy prawa to oceniają w podręcznikach za 20 lat. My, tu i teraz, musimy przeciąć ten węzeł gordyjski. Problem może rozwiązać tylko reset konstytucyjny.

To niemożliwe, możemy się rozejść. Oczywiście dziś nie, chociaż coraz więcej środowisk – Konfederacja, PSL, część ludzi w PiS – głośno o tym mówi.

Napisał pan książkę i prowadzi pan wideobloga, w którym zachęca pan polityków i ekspertów do refleksji nad zmianą konstytucji. Chciałbym znaleźć po drugiej stronie kogoś, kto przekonywałby swoich liderów i zaplecze prawne do podobnego ruchu, by – gdy przyjdzie moment konstytucyjny – było na czym pracować. Niemniej jestem realistą i zgadzam się, że w tej kadencji jest to nierealne. Ale może przy patronacie prezydenta Karola Nawrockiego udałoby się to w kolejnej kadencji? Skoro nawet prezydent Aleksander Kwaśniewski, siłą rzeczy mocno zżyty z obecną konstytucją, mówi, że widzi potrzebę jej rewizji...

Prezydent Nawrocki jako patron ponad podziałami? Po tym, jak nie przyjął ślubowania od wybranych sędziów TK? Nawet Andrzej Duda w pana podcaście mówił, że prezydent nie ma narządzi, by wybierać sobie sędziów, wskazując ich palcem.

Rzeczywiście, prezydent nie ma podstaw prawnych do odmowy odebrania ślubowania. Jest związany uchwałami Sejmu, ale miał prawo weryfikować procedurę samego wyboru. Warto też dodać, że ustawa nie przewiduje terminu na odebranie ślubowania.

Ale przyjmując ślubowanie od dwojga z sześciorga wybranych sędziów, przyznał, że procedura nie była wadliwa.

Tak, potwierdził, że wybór był w porządku. Jakkolwiek można było twierdzić, że prezydent zwleka zbyt długo, to wciąż była otwarta droga do przyjęcia ślubowania od tej czwórki. Dlatego źle się stało, że to tych czworo sędziów dało się wykorzystać, realizując niezgodny z ustawą plan B. Nie twierdzę, że przekreślono możliwość odebrania ślubowania, ale wszystko się jeszcze bardziej skomplikowało. Tu dochodzimy do momentu, w którym znowu wypadłoby poprzetrzącać się odpowiedzialnością. A problem wciąż pozostaje nierozwiązany.

Za półtora roku będzie tylko gorzej. Pewnie ma pan rację. Ale złapmy oddech: co na to wszystko wyborcy w 2027 r.? Czy wszyscy czekają tylko na to, by pięściarze raz jeszcze stanęli w ringu, nieważne, w którym narożniku, byle walka trwała?

Po prostu nie mam złudzeń. Nie akceptuję logiki zemsty. Ten rząd robi wiele złego, a ostatnie ruchy



FOT. WOUTEK GÓRSKI

Krzysztof Szczucki – polityk Prawa i Sprawiedliwości (1 kwietnia zawieszony w prawach członka partii), doktor habilitowany nauk prawnych. W latach 2020–2023 prezes Rządowego Centrum Legislacji, w 2023 r. minister edukacji i nauki w trzecim rządzie Mateusza Morawieckiego

ministra Żurka, który rozpoczął postępowanie wobec otoczenia prezydenta, to absurd do kwadratu. Ale czyjeś grzechy nie usprawiedliwiają naszych grzechów. Zresztą... Nawet gdyby tak było i w PiS zwyciężyłaby inna logika, to przyszli koalicjanci – niezależnie, czy spod znaku Konfederacji, czy ewentualnie PSL – nie chcą wspierać polityki zemsty. W PiS nie jest to dziś popularne rozwiązanie, ale potrzebne jest mądre rozdzielenie prokuratora generalnego od ministra sprawiedliwości. Żeby nikt nie miał wątpliwości, że funkcja ta polega na ściganiu przestępców, a nie tylko politycznych konkurentów. Znam wielu prokuratorów, którzy bez względu na uwarunkowania są gotowi wszczynać niewygodne śledztwa, nie patrząc na partyjne legitymacje. Dziś często są napiętnowani przez przełożonych.

Nie ma pan poczucia, że PiS jest teraz wyraźnie inną partią niż 10 lat temu?

Na pewno się zmienił, bo zmieniły się zewnętrzne okoliczności. Mamy nowe wyzwania i nowe ugrupowania

aktywne po prawej stronie. Doktryna „na prawo od PiS tylko ściana” została podważona. Partia się dostosowuje, ale intencja mojego środowiska jest taka, by w pogoni za wyborcą, który odszedł na prawo, nie zgubić dorobku naszych rządów i ich nie kwestionować. Mamy się czym chwalić. To dorobek, o którym powinniśmy opowiadać nie mitycznemu centrum, lecz wyborcom – normalsom. Spotkałem ostatnio kolegę, który przez lata był naszym wyborcą, ale w 2023 r. zagłosował na Trzecią Drogę. Zraziła go nasza kampania, nastawiona na powierzchowną krytykę Tuska. Nie chodzi o to, by go nie krytykować – zwłaszcza że jest za co. Wyborcy chcą jednak czegoś więcej: konstruktywnych pomysłów na unowocześnianie Polski. Rozumiem pana pytanie jako prośbę, bym się zastanowił, czy PiS nadal jest moją partią. Jednym z punktów krytycznych byłby moment, w którym zostałaby odrzucona doktryna braci Kaczyńskich o tym, że miejsce Polski jest w zjednoczonej Europie.

Czytał pan pewnie tekst Konrada Szymańskiego. Tej doktryny de facto nie ma.

Odeślę pana do programu z 2023 r., który w kampanii nie wybrzmiał. Tam precyzyjnie opisaliśmy proces oddziaływania na zmiany w Unii Europejskiej, a nie wychodzenia ze Wspólnoty. Zresztą proszę mi powiedzieć: wyjdziemy i co? Będziemy się rozwijać jako samotna wyspa między Berlinem a Moskwą? Absurdalne i niezgodne z polską racją stanu. ©



KONKURS

ORGANIZATOR

DGP | Dziennik
Gazeta Prawna

PATRONAT HONOROWY

Marcin Kulasek
Minister Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

PARTNER PROJEKTU

KGHM
POLSKA MIEDŹ

PARTNER GALI

JWP
JOURNAL OF WORLD PATENT

PATRONAT

PAN
POLSKA AKADEMIA NAUK

URZĄD PATENTOWY
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

NCBR
Narodowe Centrum Badań i Rozwoju

Innovations Hub
Foundation

Youth Business
Poland

Eureka! DGP. Najlepsi z najlepszych

Rozpoczynamy 13. edycję konkursu „Eureka! DGP – odkrywamy polskie wynalazki”. Do udziału zaprosiliśmy polskie uczelnie, instytuty badawcze oraz jednostki naukowe PAN. Do czerwca w DGP Magazynie na Weekend oraz na gazetaprawna.pl będziemy opisywać wynalazki nominowane przez redakcję do nagrody głównej. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi na gali pod koniec czerwca, a podsumowanie cyklu ukaże się w DGP. Główna nagroda to kampania promocyjna dla uczelni lub instytutu o wartości 50 tys. zł w mediach INFOR PL SA (wydawcy Dziennika Gazety Prawnej), ufundowana przez organizatora. Po raz pierwszy Kapituła Konkursu przyzna Nagrodę Specjalną „Nowe Pokolenie Innowatorów”, skierowaną do liderów projektów, którzy nie ukończyli 35. roku życia.

Strona internetowa konkursu: eureka.dziennik.pl/

Leżanka dla niepełnosprawnych

Niedrogi wynalazek, który może znacznie podnieść jakość życia osób z ograniczoną sprawnością ruchową

Dzięki specjalnej leżance dającej się przekształcić w wózek inwalidzki życie osób niepełnosprawnych bądź po zabiegach może się znacząco poprawić – przekonuje prof. Wojciech Wolański z wydziału inżynierii biomedycznej Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Wyjątkowość wynalazku jego zespołu tkwi w wielofunkcyjności. – Tego typu urządzenia zazwyczaj spełniają jedną funkcję. Nasze – dwie: wózek inwalidzki oraz leżanka/łóżka – podkreśla Wolański.

Wynalazek może znaleźć zastosowanie w szpitalach, ale również służyć osobom przebywającym na stałe w domu. – Leżanka umożliwi łatwe przetranspor-

towanie chorego z łóżka do innego pokoju albo, np. w funkcji wózka, wyjazd na świeże powietrze – mówi naukowiec.

Konstruując urządzenie, zespół prof. Wolańskiego zastosował proste rozwiązania mechaniczne, aby opiekun chorego mógł w łatwy sposób zmienić położenie osoby transportowanej. – Mamy tu dwa podwójne mechanizmy. Pierwszy, zbliżony do mechanizmu nożycowego, pozwala regulować wysokość, co jest szczególnie ważne w przypadku leżanki. A drugi to mechanizm równoległowodów, który pozwala rozkładać oparcie jednocześnie z podparciem podudzi. Dzięki czemu w jednym momencie zmieniamy położenie osoby z pozycji siedzącej na leżącą i odwrotnie – tłumaczy Wolański.

Ponieważ w aparacie zastosowano proste rozwiązania, nie powinno być drogie. – Przewidujemy, że będzie kosztowało trochę więcej niż tradycyjny wózek inwalidzki. A na pewno dużo mniej, niż gdybyśmy chcieli się zaopatrzyć w dwa osobne urządzenia: wózek i specjalne łóżko rehabilitacyjne – podsumowuje śląski naukowiec. ©P

Wynalazek zespołu prof. Wojciecha Wolańskiego z Wydziału Inżynierii Biomedycznej Politechniki Śląskiej w Gliwicach

Przydomowe wytwórnice wodoru

Ekologiczny sposób na niezależnienie się od globalnych wahań cen surowców energetycznych

Wodór, wysokoenergetyczne paliwo, może być wytwarzany praktycznie przy każdym wolnostojącym domu, gospodarstwie czy zakładzie za pomocą elektrolizerów zasilanych odnawialnymi źródłami energii (OZE). – Wodór to czysty nośnik energii: przy spalaniu lub zużyciu w ogniwoch paliwowych powstaje jedynie woda, nie ma emisji CO₂ – mówi mgr inż. Zdzisław Wałęga z Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Przydomowe instalacje zwiększyłyby również niezależność energetyczną Polaków, co w obliczu niespokojnej rzeczywistości geopolitycznej byłoby ich sporym atutem.

Polska jest jednym z większych producentów wodoru na świecie, ale to wodór „szary”, bo urządzenia wykorzystywane do produkcji tego paliwa zasilane są prądem wytwarzanym przez tradycyjne elektrownie węglowe lub gazowe. Wałęga chce to zmienić. – Koszty paneli słonecznych znacząco spadły, nie jest to już droga inwestycja. Oczywiście, słońce nie zawsze świeci, więc można do mojego systemu dodać energię wiatrową czy, ewentualnie, wodną – zaznacza wynalazca.

Na zielonogórskiej uczelni mgr inż. Zdzisław Wałęga to człowiek-instytucja, opiekun koła naukowego, który pasją do mechaniki zaraził już setki studentów. – Realizują swoje pomysły, uczą się na błędach. Musi być jednak ktoś, kto nimi pokieruje, powie, co wyszło, a co nie. Czasami, gdy już bardziej się zaangażują, potrafię się przyznać do błędu, że coś źle zrobiłem, a oni dobrze – opowiada Wałęga.

Jak podkreśla, w projekcie każdy dostaje swoje zadanie. To jest już odpowiedzialność za termin i wykonanie, która procentuje. – Po opuszczeniu uczelni moi studenci nie mają problemów z podjęciem pracy, bo jeżeli dostarczą CV, gdzie jest napisane, że uczestniczyli w różnych projektach i są współautorami patentów, to ich szanse na zatrudnienie rosną – podsumowuje wynalazca z Zielonej Góry. ©P

Wynalazek zespołu mgr. inż. Zdzisława Wałęgi z Instytutu Inżynierii Mechanicznej Uniwersytetu Zielonogórskiego

Sposób na zwłóknienia

Ludzkie komórki zaprężone do walki ze zwłóknieniem tkanek

Powstające na skutek stanów zapalnych zwłóknienia tkanek mogą doprowadzić do znacznego upośledzenia pracy serca czy płuc, a w rezultacie – śmierci. Nowy sposób terapii opracował zespół dr Syl-

AUTOPROMOCJA

DGP **EUREKA**
ODKRYCIE TYGODNIA

Wynalazki made in Poland

zaprasza **Anna Piotrowska**,
Dziennik Gazeta Prawna

Oglądaj na **dgp.pl/wideo**

wii Bobis-Wozowicz z zakładu biologii komórki, wydziału biochemii, biofizyki i biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Naukowcy z Krakowa nakłonili do współpracy pęcherzyki zewnątrzkomórkowe – wyjątkowe elementy naszego organizmu.

Zwłóknienie może dotyczyć różnych narządów, np. wątroby, trzustki, nerek czy skóry. Wynika z nieleczonego, chronicznego stanu zapalnego, podczas którego komórki stromalne ulegają nadmiernej aktywacji i zaczynają wydzielać duże ilości białek usztywniających tkankę. Tak powstaje np. blizna pozawałowa, która zakłóca pracę serca, niekiedy aż do jego zatrzymania.

W przypadku działań zespołu z Krakowa kluczem do opracowania nowej terapii są indukowane pluripotencjalne komórki macierzyste (iPSC). – To typ komórek, które w procesie różnicowania mogą się przekształcać w inne, o określonych funkcjach, np. komórki serca czy skóry, ale mogą też odtwarzać populację komórek macierzystych – mówi dr Bobis-Wozowicz. Komórki iPSC są sztucznie wytworzonymi odpowiednikami zarodkowych pluripotencjalnych komórek macierzystych. Zatem ich wykorzystanie nie budzi wątpliwości natury etycznej. Stąd naukowcy z Krakowa tworzą swoje komórki iPSC z komórek krwi lub skóry w procesie reprogramowania, co pozwala na cofnięcie ich w rozwoju do etapu o największym potencjale.

Takie reprogramowane iPSC zostały wykorzystane do produkcji pęcherzyków zewnątrzkomórkowych o określonych własnościach. – Pęcherzyki wytwarzane są przez wszystkie komórki w naszym ciele. To rodzaj miłosnych liścików, które komórki wymieniają między sobą – tłumaczy szefowa zespołu z Krakowa. Treści owych listów mogą być różne. – To bioaktywne molekuly, mogące wnikać do innych komórek i zmieniać ich sposób zachowania, wygląd oraz funkcje – dodaje dr Bobis-Wozowicz.

W trakcie badań okazało się, że wprowadzenie drobnej modyfikacji podczas hodowli iPSC dało zaskakujące wyniki. – W warunkach obniżonego stężenia tlenu wydzielane przez komórki pęcherzyki zawierają większą ilość czynnika przeciwzwłóknieniowego. W tym przypadku to konkretna cząsteczka mikroRNA – mówi badaczka. W dalszych eksperymentach zespół Bobis-Wozowicz wykazał, że te pęcherzyki mogą odwracać proces zwłóknienia: zmniejszyć stan zapalny i obniżyć stan aktywacji komórek stromalnych. W rezultacie – zmieniać zwłóknienia z powrotem w zdrową tkankę lub znacząco obniżać markery zwłóknienia.

– Ponadto wykazaliśmy, że to zjawisko uniwersalne, a pęcherzyki da się zastosować do leczenia zwłóknień w różnych narządach: trzustce, wątrobie, sercu i płucach – podsumowuje krakowska badaczka. ©©

Wynalazek zespołu dr Sylwii Bobis-Wozowicz z Zakładu Biologii Komórki, Wydziału Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie

Lepsza terapia nowotworów

Celny i bezpieczny strzał wiązką hadronową w komórki rakowe

Dzięki dwóm patentom naukowcy z Krakowa ujarzmi-li energię wiązki hadronowej, by usprawnić leczenie nowotworów. – Hadrony to cząstki podlegające oddziaływaniom silnym, zbudowane z kwarków. Te, o których uczymy się w szkole, to nukleony: protony i neutrony. Wiązka to z kolei strumień cząstek, np. protonów, które są przyspieszane do wysokich prędkości, czyli tym samym wysokiej energii kinetycznych, przez urządzenia nazywane akceleratorami – tłumaczy dr Wiktor Parol z Instytutu Fizyki Jądrowej im. Henryka Niewodniczańskiego PAN w Krakowie.

Dzięki takiej rozpędzonej wiązce możemy zajrzeć w głąb materii, bo działa ona niczym mikroskop, albo usunąć tkanki guzów nowotworowych. Cząstki wnikają w ciało chorego, deponują trochę swojej energii na coraz większej głębokości i kiedy zbliżają się do maksymalnego zasięgu – głębokości, na jakiej znajduje się guz – deponują w jednym miejscu niemal całą swoją pierwotną energię i zatrzymują się. W ten sposób nie niszczą okolicznych tkanek.

– Mówiąc o energii wiązki, tak naprawdę mam na myśli średnią energię kinetyczną wszystkich protonów, które w niej lecą. Każda wiązka ma delikatne rozmycie energetyczne, bo protony różnią się nieznacznie energią. Nasza metoda mierzy też skalę tego rozmycia. Uzyskaliśmy w testach dokładność poniżej 2,5 promila, jeżeli chodzi o określenie wartości energii, co jest bardzo dobrym wynikiem, jak na tak prosty pomiar zajmujący kilka milisekund – dodaje naukowiec z Krakowa.

Nowa metoda usprawni leczenie chorych. – Teraz, jeśli fizycy medyczni zaplanują terapię, określają, jakie powinny być kąty nachylenia wiązki i energia napromieniania pacjenta, ale trzeba jeszcze wytworzyć dokładnie taką wiązkę. Codzienne przeprowadzane są więc skomplikowane testy, mające sprawić, że cyklotron poda taką wiązkę, jaką powinien – mówi dr Parol.

W przypadku rozwiązania zespołu z Krakowa detektory mogą zostać zamontowane na wiązce, ich wsunięcie lub wysunięcie będzie trwało kilkanaście sekund, a sam pomiar będzie jeszcze krótszy. Tym samym da się przetestować, czy wszystko działa, każdorazowo przed rozpoczęciem terapii. – Innymi słowy, zwiększamy bezpieczeństwo, bo gdyby coś miało pójść nie tak, wychycimy to przed napromienianiem chorego – podsumowuje naukowiec. ©©

Wynalazek zespołu dr. Wiktora Parola z Instytutu Fizyki Jądrowej im. Henryka Niewodniczańskiego Polskiej Akademii Nauk w Krakowie

Redukcja szkodliwego gazu

Aby siarkowodor już nie powodował korozji

Biogazownie produkują paliwo – metan, ale przy okazji także szkodliwy siarkowodor. Tego drugiego można się pozbyć dzięki wynalazkowi dr. inż. Andrzeja Lewickiego z katedry inżynierii biosystemów Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. – Siarkowodor może przysporzyć wiele problemów. Ma silne właściwości korozyjne, co może doprowadzić do zniszczenia infrastruktury. Co gorsze, kiedy ze strumieniem gazu dostanie się do silnika kogeneracyjnego, który, spalając biogaz, produkuje energię elektryczną i ciepło, jest w stanie negatywnie wpływać na właściwości smarne oleju, czym przyczynia się do szybszej korozji silnika – mówi Lewicki. Ponadto siarkowodor ma odpychający odór zgniłych jaj.

Stosowane do tej pory sposoby radzenia sobie z siarkowodorem

są kosztowne i wymagają stosowania dodatków chemicznych na bazie żelaza. – Moja metoda jest odmienna: zakłada stosowanie mikroeracji, podawania małej, ściśle kontrolowanej ilości pęcherzyków powietrza do fermentującej pulpy w celu zmiany parametrów procesu fermentacyjnego – opowiada naukowiec z Wielkopolski. Dzięki temu można doprowadzić do warunków, w których siarkowodor nie będzie powstawał. Albo, w alternatywnej metodzie, dzięki podaniu powietrza do komór fermentacyjnych dojdzie do rozwinięcia się określonych bakterii syntroficznych, które zniwelują emisję siarkowodoru.

– W beztlenowych warunkach reaktora fermentacyjnego są one w stanie prowadzić proces utleniania powstających tam siarczków do siarki krystalicznej, a to oznacza, że nie występuje ona w biogazie jako siarkowodor. Bakterie te naturalnie występują w mikroflorze reaktora fermentacyjnego, w związku z tym nie ma konieczności doszczepiania tych mikroorganizmów – mówi dr inż. Lewicki. ©©

Wynalazek zespołu dr. inż. Andrzeja Lewickiego z Katedry Inżynierii Biosystemów Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu



FOT. MAT. PRASOWE

Oliwia Czarnocka

rzecznik patentowy
JWP Rzecznicy
Patentowi

Ważny jest pakiet licencyjny

Za każdym z prezentowanych wynalazków stoi zespół badaczy, który zdecydował się przekroczyć granicę między odkryciem naukowym a rozwiązaniem praktycznym – i to właśnie ta odwaga twórcza zasługuje na uznanie. Tegoroczne zgłoszenia do konkursu „Eureka! DGP – odkrywamy polskie wynalazki” łączy filozofia, w której zamiast łagodzić skutki jakiegoś zjawiska, lepiej eliminować jego przyczyny.

Każdy z wynalazków powstał na styku co najmniej dwóch dziedzin naukowych, dlatego szerszego znaczenia nabiera właściwe sformułowanie zastrzeżeń patentowych. Granice między naukami bywają płynne, a zbyt wąski zakres zastrzeżeń może pozostawić twórców bez realnej ochrony wobec naśladowców działających w sąsiednich dziedzinach.

Uzupełnieniem ochrony patentowej jest know-how zespołu, wiedza o tym, jak dokładnie przeprowadzić dany sposób lub proces – jakich parametrów użyć, jakich błędów unikać, co działa w praktyce – a czego nie ujęto w opisie patentowym. Nieujawiana w zgłoszeniu i chroniona jako tajemnica przedsiębiorstwa stanowi składnik wartości równie istotny jak sam patent. Razem tworzą pakiet licencyjny o większej wartości negocjacyjnej niż każde z tych narzędzi osobno, a umowa licencyjna powinna precyzyjnie definiować pola wykorzystania innowacji, by twórcy zachowali możliwość niezależnego zagospodarowania każdego z nich.

Wszystkie opisywane wynalazki łączy jedna cecha: wymagają partnera, by zaistnieć na rynku. To moment, w którym jakość ochrony własności intelektualnej (IP) decyduje o tym, czy twórcy wchodzi do negocjacji z producentem lub inwestorem z silną pozycją, czy od razu zgadzają się na warunki partnera. Dobrze zbudowane portfolio IP to nie formalność, lecz strategiczny fundament wdrożenia. ©©

Historia

Imperium dwóch skłóconych dżentelmenów

Stary konserwatysta i szlachetny liberał przez dwie dekady toczyli zacieklą walkę o władzę w Wielkiej Brytanii, zmieniając kraj nie do poznania

Andrzej

Krajewski

Sondaże przeprowadzane na Wyspach Brytyjskich wskazują, że czasy, gdy u steru państwa wymieniali się torysi i laburzyści, dobiegają końca. Zaś rozczarowani tradycyjnymi partiami wyborcy przenoszą głosy na Zielonych i Reform UK Nigela Farage'a.

Zapowiada to przemiany, jakich Wielka Brytania nie doświadczyła od ponad stulecia. Wtedy wcielało je w życie dwóch dżentelmenów zdolnych niemal do wszystkiego, byle tylko zdobyć i utrzymać władzę.

Legendarni premierzy

„Różnice polityczne między nimi nie były większe niż to zwykle bywa w systemie dwupartyjnym, ale to, co nadało konfliktowi ostrość i wywołało głęboko zakorzeniony antagonizm, to ich całkowita odmienność charakterów i temperamentów” – twierdził Winston Churchill. Gdy pod koniec lat 30. XX w. pisał „A History of the English-Speaking Peoples”, dobrze znał realia władzy, jako były członek Partii Liberalnej, a następnie Partii Konserwatywnej. Należał więc do sporego grona polityków, którzy zaczynali kariery w jednym z tych ugrupowań, a kończyli w drugim. Co tylko potwierdzało tezę, że stronnictwa, między którymi Benjamin Disraeli i William Gladstone starali się wykopać głęboką przepaść, aż tak bardzo nie różniły się od siebie. Podobnie jak ich liderzy, rządzący na zmianę Wielką Brytanią przez ponad dwie de-

kady. Zwłaszcza że wprowadzane przez nich reformy nie kolidowały ze sobą, lecz się uzupełniały.

Mimo to opisywani przez Churchilla przywódcy nie widzieli większych wrogów od siebie. To, jakie opinie wygłaszali o sobie, dało początek wielu anegdotom. „Gdyby Gladstone wpadł do Tamizy, byłoby to nieszczęście; gdyby ktoś go wyciągnął, to, jak sądzę, byłaby to katastrofa” – lubił mawiać Disraeli. W prywatnej korespondencji nie bywał tak dystyngowany. W liście do lorda Derby'ego napomknął o „tym pozbawionym zasad szaleńcu Gladstone”, który jest „niezwykłą mieszkanką zazdrości, mściwości, hipokryzji i przesądu”. Zaś na koniec dodał coś, co dla ówczesnych elit było niczym splunięcie w twarz. „Czy to głosząc kazania, modląc się, przemawiając, czy pisząc – nigdy nie był dżentelmenem!” – podkreślił.

Gladstone, zawsze powściągliwszy od adwersarza, w jednym z listów ubolewał, jak głęboko amoralny jest Disraeli. „Partia Konserwatywna miała zasady, za którymi opowiadała się i to zarówno w złym, jak i dobrym czasie. Wszystko to zniszczył Dizzy” – podsumowywał z ostentacyjnym smutkiem. Obaj też trwali w mocnym przekonaniu, że na niwie politycznej zupełnie nic poza Wielką Brytanią ich nie łączy.

Konserwatywny Żyd kontra liberalny panicz

„Isaac D'Israeli, wstąpił do Kościoła Anglii w 1813 r., gdy Benjamin był jeszcze dzieckiem, a Benjamin Disraeli został ochrzczony w 1817 r.” – przybliżył pocho-

dzenie przyszłego premiera Miriam Bibby w „Gladstone and Disraeli In Opposition”. „William Ewart Gladstone urodził się w Liverpoolu w szkockiej rodzinie, zaś jego żona była Walijką” – uzupełnia. Pierwszy wywodził się z wykształconej, lecz niezbyt zamożnej rodziny; przez lata był sekowany z powodu żydowskich korzeni – jego pochodzenie było nie do przyjęcia przez angielskich arystokratów. Z kolei ojciec Gladstone'a dorobił się majątku jako właściciel plantacji w Ameryce Południowej. To nie przysporzyło rodzinie dobrej sławy, po tym jak w 1823 r. w Gujanie wybuchło powstanie niewolników i prasa zaczęła informować o tym, jak okrutnie plantatorzy obchodzili się ze swą własnością. Syn plantatora dzięki rodzinnej fortunie otrzymał znakomite wykształcenie, kończąc Eton College, a potem studia na Oksfordzie. Rodziców Disraeliego stać było jedynie na prywatne nauczanie dla potomka. Ten w młodości, by zarobić na życie, pisał powieści i parał się dziennikarstwem. Również Gladstone świetnie władał piórem, acz jako autor moralizatorskich rozpraw.

„Obaj planowali karierę prawniczą. Obaj byli oddani Kościołowi protestanckiemu, a Gladstone w pewnym momencie rozważał karierę w nim. Obaj byli płódnymi pisarzami, którzy w różnych okresach życia czerpali dochody ze swych bardzo odmiennych sposobów pisania” – zauważa Bibby. W końcu obaj zostali politykami. Przy czym Gladstone z upływem lat stawał się coraz bardziej liberalny, zaś Disraeli konserwatywny.

Tymczasem do połowy XIX w. zajmowanie się polityką w Wielkiej Brytanii było domeną elit. Dostęp do sprawowania władzy pozostawał powiązany z arysto-

kratycznym pochodzeniem oraz sieciami znajomości. To one otwierały drzwi do ekskluzywnych klubów, gdzie zapadały kluczowe decyzje. Osoby wywodzące się z pospólstwa, nawet jeśli dysponowały wielkim majątkiem, pozostawały na marginesie. Ten stan rzeczy zmienił nieznacznie Reform Act z 1832 r. Premier Charles Grey, chcąc rozładować napięcia społeczne, wykreślił na nowo okręgi wyborcze, by wielkie miasta zaczęły więcej znaczyć niż „zgniłe okręgi” tworzone przez małe, wyludnione miasteczka. Wzrosła też liczba uprawnionych do głosowania z 0,5 mln do ponad 800 tys. mężczyzn, posiadających wystarczająco duże majątki, by otrzymać prawa wyborcze.

Z tej furtki skorzystali jednocześnie Gladstone i Disraeli. Początkowo ich kariery w Partii Konserwatywnej nie prezentowały się imponująco, lecz stale pięły się w górę. Aż wreszcie Disraeli został kanclerzem skarbu, zaś Gladstone liderem frakcji Peelitów, utworzonej przez najbardziej postępowych konserwatywistów. Przyniosło to w grudniu 1852 r. wybuch ich prywatnej wojny. Obaj już wówczas serdecznie się nie cierpieli i starali wzajemnie sobie zaszkodzić.

Tymczasem rząd Edwarda Stanleya utracił większość i przyjęcie nowego budżetu stało się dla niego kwestią być albo nie być. Richard Aldous w „The Lion and The Unicorn: Gladstone and Disraeli” opisuje, że Disraeli przedstawił w Izbie Gmin projekt ustawy budżetowej, po czym wygłosił w jej obronie trzygodzinną mowę, uznaną „za parlamentarne arcydzieło”. Wówczas o głos poprosił Gladstone i mimo prób uciszenia go przez członków Partii Konserwatywnej przez dwie godziny opisywał Disraeliego jako lekkomyślnego głupca,





Karykatura z ok. 1880 r. ukazująca Williama Gladstone'a (z lewej) i Benjaminia Disraeliego

FOT. THE PRINT COLLECTOR/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

niemającego pojęcia o finansach. Doprowadzając tym sposobem do odrzucenia budżetu i upadku własnego rządu.

Pojedynek, jaki rozpoczął się wówczas między oboma politykami, mogła już tylko przerwać śmierć jednego z nich. Na początek przewagę zyskał Gladstone, bo wbicie noża w plecy Partii Konserwatywnej zepchnęło torysów do opozycji. Sam wraz z frakcją Peelitów zawarł sojusz z reprezentującymi interesy mieszczan wigami oraz radykałami. Tak zaczęła się kształtować Partia Liberalna, ostatecznie powołana do życia w 1859 r. Jednak prawie 10 lat Gladstone musiał pracować na osobisty sukces. W tym czasie najważniejszym hasłem, jakie głosił, stało się rozszerzenie praw wyborczych na kolejne grupy społeczne.

Wreszcie z pomocą przyszedł mu... Disraeli, który w kolejnym, mniejszościowym rządzie Edwarda Stanleya, pełnił funkcję Kanclerza Skarbu oraz został liderem Izby Gmin. To on w 1867 r. stał się architektem rewolucyjnego Second Reform Act. Za sprawą zmiany ordynacji wziąć udział w głosowaniu mogło już blisko dwie trzecie mężczyzn (wówczas ok. 2,5 mln). Każdy, kto posiadał stałe miejsce zamieszkania (nawet wynajęte), ukończył 21. rok życia i płacił podatki, zostawał wyborcą. Zatem dotyczyło to większości robotników. Disraeli zakładał, że ci okażą wdzięczność i poprą konserwatystów. Ale wybory w 1868 r. wygrali liberałowie Gladstone.

Reformatorów dwóch

„Zabiło to rządy z XVIII w.” – oceniał po latach reformę systemu wyborczego Churchill. „Pojawienie się masowe-

go elektoratu wymagało nowego rodzaju polityki. Sama liczba wyborców sprawiła, że stare techniki stały się nieskuteczne w dużych miastach” – dodaje.

Zmiany początkowo niosły w górę gabinet Gladstone'a. Ów, jak na niedoświadczonego kaznodzieję przystało, nie tylko uwielbiał moralizować, lecz także ulepszać świat. Wprowadził zatem w życie ambitny program reform obejmujący armię, sądownictwo i państwową administrację. W służbie cywilnej zniszczył system nieformalnego patronatu wyższych sfer, ustanawiając egzamin, oceniający intelektualne walory kandydatów. Powstała ogólnokrajowa sieć szkół podstawowych, by każdy obywatel Wielkiej Brytanii potrafił czytać i pisać. Po wielu stuleciach uniwersytety w Oksfordzie i Cambridge musiały zacząć przyjmować na studia obywatele Zjednoczonego Królestwa, którzy nie byli anglikanami: katolikami, Żydów, a nawet ateistów. Jednocześnie Gladstone ograniczył prerogatywy królowej Wiktorii, która wcześniej mogła wpływać na kształt rządu, blokując powołanie ministrów oraz premiera. Czym zyskał jej dozwolona niechęć. „Mówi do mnie, jakby był na spotkaniu publicznym!” – oznajmiła pewnego razu oburzona monarchini po wyjściu premiera.

Tymczasem Disraeli wyciągnął wnioski z klęski i zajął się reformowaniem Partii Konserwatywnej, tak aby zaczęła czerpać zyski z nowej ordynacji wyborczej. Zorganizował więc w 1868 r. Narodowy Związek Stowarzyszeń Konserwatywnych i Konstytucyjnych, skupiający lokalne organizacje popierające konserwatystów. Dwa lata później dodał Centralne Biuro Konserwatywne (CCO), którego zadaniem było pro-

wadzenie kampanii wyborczych, wybieranie kandydatów w poszczególnych okręgach, rozdysponowywanie funduszy. „Te dwie organizacje dobrze się uzupełniały. Podczas gdy Związek reprezentował poglądy oddolnych grup w ramach Partii, CCO zarządzało kampaniami z centrum pod czujnym okiem kierownictwa” – pisze Ed Selkirk Ford w opracowaniu „A Very Short History of the Conservative Party”.

Disraeli stworzył nowoczesną machinę wyborczą i zamierzał pozyskać poparcie robotników. Z kolei Gladstone preferował odwoływanie się do klasy średniej, oferując jej wolność, swobody gospodarcze, indywidualizm oraz ograniczenie roli państwa. Sprzeciwiał się też dalszemu rozszerzaniu praw wyborczych. Na to Disraeli odpowiedział ideą jednego narodu. Mówiła ona, że elity powinny wziąć na siebie odpowiedzialność za poprawę losu wszystkich Brytyjczyków, zajmując się warunkami, w jakich musieli pracować, mieszkać oraz kwestiami zdrowia publicznego. Efekt wprowadzanych przez obu liderów reform był taki, że w 1874 r. torysi po raz pierwszy od pół wieku zdobyli samodzielną większość w parlamencie i tuż przed swymi 70. urodzinami Benjamin Disraeli został wreszcie premierem.

Wojny prywatne i państwowe

„Królowa Wiktorija dzieliła premierów na tych, których lubiła, i tych, których nie lubiła. Po niepewnym początku Disraeli zdecydowanie należał do pierwszej grupy, zaś Gladstone do drugiej” – twierdzi Bibby. „Jej władza była ograniczona, ale wystarczająco ważna, by móc odpłacać premierowi za utrzymywanie z nią dobrych stosunków. Gladstone nigdy by tego nie zrobił. Brakowało mu talentu do pochlebstw Disraeliego” – dodaje.

Nowy premier był dżentelmenem w każdym calu i monarchini zupełnie zapomniiała o jego pochodzeniu. Tym łatwiej jej to przyszło, bo Disraeli – podobnie jak ona – nieustannie okazywał uwielbienie dla imperium i chciał rozszerzać jego granice. W 1875 r. Egipt musiał jednorazowo spłacić 3 mln funtów odsetek od długu. Brytyjski premier zaproponował, że chętnie przekaże tę sumę władającemu bankrutującym krajem Ismailowi Paszy. W zamian zażądał pakietu akcji Kanału Sueskiego. W kolejnym kroku wymusił na bankructwie oddanie się pod zarząd międzynarodowej Komisji Długu Państwowego, do której przedstawiciele wydelegowały Wielka Brytania, Francja, Austro-Węgry i Włochy. Jednak na koniec to Wielka Brytania przejęła całkowitą kontrolę zarówno nad Kanałem Sueskim, jak i Egiptem. Tak zabezpieczając dla imperium najszybszy szlak komunikacyjny do Indii. Podczas błyskotliwej rozgrywki Disraeli zadbał o odpowiednie skomplementowanie monarchini. W 1876 r. konserwatyści przeforsowali w parlamencie ustawę, nadającą królowej Wiktorii tytuł cesarzowej Indii.

W tym czasie Gladstone skupił się na krytyce imperializmu Disraeliego. Domagając się większej samorządności dla kolonii, by tak zdjąć z Wielkiej Brytanii ciężar ich nadzorowania i tłumienia ko-

lejnych powstań. Pomagało mu w tym patronat, jakim premier otoczył Turcję, śmiertelnie zagrożoną ze strony Rosji. Zwłaszcza w 1876 r., gdy na Bałkanach wybuchło powstanie słowiańskich narodów od wieków ciemiężonych przez imperium osmańskie. Zaś Turcy w odwecie urządzili im rzeź. „Nie ma przestępcy w europejskim więzieniu, nie ma kanibala na wyspach Morza Południowego, którego oburzenie nie wzrosłoby i nie wybuchłoby na wieść o tym, co się stało” – pisał w specjalnie wydanej na tę okazję broszurze Gladstone. Podkreślając, że jedynie brytyjski premier pozostaje obojętny na popełniane zbrodnie.

Kilka miesięcy później na imperium osmańskie uderzyła Rosja i jedynie obecność brytyjskiej floty oraz groźba wojny powstrzymała wojska carskie przed wkroczeniem do Stambułu. Ocalenie imperium osmańskiego przed upadkiem umocniło na moment pozycję Disraeliego. Po czym zamykający wojnę w 1878 r. kongres przywódców mocarstw w Berlinie zakończył się spektakularnym sukcesem kanclerza Otto von Bismarcka. To on, wykorzystując konflikty dzielące poszczególne państwa, ułożył na nowo międzynarodowy porządek po myśli Niemiec. Co natychmiast wypunktował Gladstone.

Na zmęczenie Brytyjczyków imperializmem Disraeliego wkrótce nałożył się kryzys ekonomiczny oraz fatalne zbiory w 1879 r. W efekcie wybory w 1880 r. wygrała Partia Liberalna. Zrozpaczona królowa Wiktorija nie mogła się pogodzić z odejściem ulubionego premiera. Starała się więc zablokować objęcie teki przez Gladstone'a, którego zaczęła nazywać „na wpół szalonym”. Oferując stanowisko jego konkurentowi w Partii Liberalnej lordowi Hartingtonowi. Jednak przywódca liberałów nie dał się ogrącać.

Tymczasem pokonany lider konserwatystów mocno podupadł na zdrowiu. Przygnębienie, jakie go ogarnęło, pogłębiająca się astma i bardzo bolesna dna moczanowa sprawiły, że nie dożył 77. urodzin, umierając w kwietniu 1881 r. Zgodnie z oczekiwaniami opinii publicznej premier William Gladstone wygłosił w parlamencie przemówienie na cześć Benjaminia Disraeliego, po raz pierwszy nie wypowiadając o nim ani jednej złej opinii. Zaproponował nawet wzniesienie pomnika swojego wroga w Opactwie Westminsterskim. Acz na pogrzebie się nie pojawił.

Triumf, jaki odniósł Gladstone, okazał się gorzki. Choć określał się wrogiem imperializmu, musiał posłać brytyjskie wojska do Egiptu, żeby stłumiły tamtejsze powstanie. A gdy chciał przyznać autonomię Irlandii, w Partii Liberalnej wybuchła rebelia, na czele której stanął lord Hartington. Tak stronnictwo rozpadło się na dwa konkurencyjne ugrupowania. Acz największą złośliwość kończącemu swą polityczną karierę Gladstone'owi wyrządził od dawna już nieżyjący Disraeli. Za sprawą wsparcia, jakiego Partia Konserwatywna udzielała środowiskom robotniczym, nieliczni socjaliści zaczęli organizować się pod jej opieką. Aż w końcu powołali do życia Partię Pracy, mogącą liczyć na pomoc spadkobierców Disraeliego. Pojawienie się laburzystów stopniowo zepchnęło liberałów na margines sceny politycznej i tam w Wielkiej Brytanii już pozostali. ©

Idee

Pomnik Bohaterów Getta
w Warszawie w czasie
obchodów rocznicy wybuchu
powstania



FOT. TOMASZ SZEL/PAP

zostawił po sobie zbiór tez, którymi wyprzedzał epokę, ale i pustkę spowodowaną brakiem ludzi gotowych przyznać mu prawo do podważania oczywistości. Więc tak jak pisał Czesław Miłosz „Campo di Fiori”, kiedy „wstępował na rusztowanie,/ Nie znalazł w ludzkim języku/ Ani jednego wyrazu,/ Aby nim ludzkość pożegnać,/ Tę ludzkość, która zostaje”.

Niewidoczne ofiary

Niechęć do zrozumienia jest niczym czarna dziura pochłaniająca możliwość zbudowania wspólnego języka, a co za tym idzie – komunikacji. Bez niej zaś niemożliwe staje się stworzenie wspólnoty, która broni wątpliwych, dając ludziom nadzieję, że nikt ich za poglądy nie wyszłdzi, nie uwięzi czy w końcu – nie zamorduje. „Buntuję się, więc jesteście” – pisał Albert Camus w „Człowieku zbuntowanym”, powojennym wyznaniu wiary w to, że nie myśl totalna, nieuznająca odstępstw, ale wątpliwa, nakazująca stawianie pytań, powinna być podstawą funkcjonowania społeczeństw, które bronią, a nie prześladują słabszych. Autor „Upadku” stwierdził: „bunt nie tylko i niekoniecznie rodzi się w uciskanym, ale może zrodzić się również na widok ucisku, którego ofiarą jest kto inny. (...) W buncie człowiek przekracza siebie – w innym, i z tego punktu widzenia solidarność ludzka jest metafizyczna” (tłum. Joanna Guze). Dodał, że bunt nie musi się rodzić jedynie na widok krzywd doświadczanych przez „naszych”. Może powstać również z obserwowania niesprawiedliwości dotyczących „obcych” czy wręcz wrogów.

Przyjęcie takiej perspektywy tworzy jeden z fundamentów postawy tych, którzy domagają się zakończenia wojny w Strefie Gazy i zaprzestania przez Izrael dokonywania na Palestyńczykach zbrodni ludobójstwa. Podejście to nie jest jednak dominujące. Jak w książce „Gaza. Rzecz o kulturze eksterminacji” przekonuje Paweł Mościcki, filozof związany z Instytutem Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, po atakach Hamasu z 7 października 2023 r. izraelska propaganda stworzyła narrację bazującą na podkreśleniu barbarzyństwa drugiej strony i usprawiedliwiającej odwet. Jednocześnie stworzono wrażenie, że tamta tragiczna data nie była jednym z setek, jeśli nie tysięcy dramatycznych momentów w historii izraelsko-palestyńskiej, ale niemającą żadnych przyczyn agresją. „Po raz kolejny Izrael magicznie oczyszcza się z win, i to podwójnie – wobec przeszłości oraz wobec przyszłości” – pisze Mościcki. Podkreśla, że narracja ta stała się obowiązująca dla świata zachodniego. Sprzeciw wobec wojny czy solidarność z palestyńskimi ofiarami, wśród których jest ogrom dzieci i kobiet, są z gruntu traktowane jako przejaw antysemityzmu, co ma odbierać legitymację od jakiegokolwiek krytyki poczyną rządu Binjamina Netanjahu.

Efekt takiego postawienia sprawy prowadzi do dwójmyślenia, które w „Któregoś dnia okaże się, że wszyscy od zawsze byli przeciwko” opisuje Omar El Akkad, egipsko-kanadyjsko-ameerykański pisarz. Uczestników konfliktu dzieli na ofiary imperium oraz ofiary z imperium. Imperium jest tu Izrael.

W obronie niezgody

W świecie, w którym jesteśmy w stanie pokłócić się o wszystko, zanikła umiejętność niuansowania rzeczywistości i akceptowania, że gwarantem rozwoju jest podważanie tego, co znamy. Nawet z historii

Sebastian

Pawlina

„Ignorancja i arogancja to dwie siostry bliźniaczki” – pisał w opublikowanym w 1584 r. dziele „La cena de le ceneri” („Wieczera w śród popielcową”) 36-letni wówczas Giordano Bruno. O tym włoskim filozofie, teologu, poecie i buntowniku nad Wisłą pamięta się mniej więcej tyle, że był zwolennikiem teorii Mikołaja Kopernika, za co został spalony na stosie. Nic dziwnego, żywoty ludzkie są przeważnie sprowadzane do pojedynczych wyrazów, przecinków i kropek. Akurat tyle, żeby dało się w jednym zdaniu przedstawić człowieka w szkole albo wyrzucić epitafium w kamieniu na grobie.

Nawet nie znamy wizerunku Bruna – wszystkie przedstawiające go ilustracje pochodzą z czasów późniejszych. Jedynie z opisów wiemy, że był niewysoki, szczupły, z włosami ciemnymi i jaśniejszym zarostem. Jakże inny jest to obraz od tego, który widzimy na jego pomniku na rzymskim Campo de' Fiori, gdzie odziany w płaszcz przypomina bardziej potężnego i mrocznego rycerza niż drobnego rewolucjonistę chcącego rozświetlić ludzkie umysły. Niejeden i niejedna zapewne dziwili się, że postać na postumencie nie miecz trzyma w dłoniach, a księgę. Ale to właśnie nimi prowadził swoją walkę Bruno. Z ich powodu, czy może raczej z powodu tego, co w nich zawarte, nieustannie musiał uciekać.

Dzieciństwo spędził w Noli, miasteczku położonym w cieniu Wezuwiusza, tuż obok Neapolu, do którego wyjechał, mając 14 lat. Trzy lata później wstąpił do tamtejszego zakonu dominikanów, przyjmując imię Giordano, którym zastąpił nadane mu przy urodzeniu Philippo. Szybko popadł w konflikt z przełożonymi, aż w końcu w 1576 r. został oskarżony o herezję. Pierwszy, ale nie ostatni raz. Następnie kilkanaście lat spędził, wędrując po Europie, od Neapolu i Rzymu przez Paryż i Genewę po Londyn i Pragę. W końcu wrócił do Włoch, gdzie został aresztowany i postawiony przed Trybunałem Inkwizycyjnym. Wbrew jego zaleceniom Giordano Bruno nie wyrzekł się tego, w co wierzył. Ginąc na stosie, po-

Ofiary z imperium „są mordowane, doświadczać potworności, ich zabójcy to oprawcy, terroryści i dzikusy” (przeł. Agata Ostrowska). Ich śmierci towarzyszy zaś słuszny gniew, który powinien odczuwać każdy z nas. Z drugiej strony są ofiary imperium. One „nie są mordowane. Ich zabójcy nie są oprawcami, ich zabójcy w ogóle nikim nie są. Ofiary imperium nie giną, po prostu przestają istnieć. Rozwierają się jak mgła”.

W efekcie gdy jednej ze stron odmawia się prawa do obrony i cierpienia, działania drugiej uznaje się nie tylko za uzasadnione bieżącymi wydarzeniami, lecz także – jako forma zabezpieczenia przed kolejną Zagładą – historycznie uprawnione. Przeszłość i przyszłość nakładają się na siebie, wzajemnie się usprawiedliwiają i wyjaśniając.

Wojna na petycje

O tym, jak potężną moc oddziaływania ma ta narracja, świadczy burza, która rozpełtała się wokół pamięci o tych, którym ponad 80 lat temu inni odmawiali prawa do obrony i cierpienia, a nawet języka, którym mogliby opowiedzieć o swoim losie.

Gdy latem 1942 r. w warszawskim getcie trwała wielka akcja (niem. Grossaktion), czyli deportacja Żydów do obozów zagłady, 19-letni Dawid Graber, członek dokumentującej prześladowania i mordowanie Żydów grupy Oneg Szabat, zapisał: „To, czego nie mogliśmy wykrzyczeć przed światem, zakopaliśmy w ziemi”. Czuł, że nie dożyje dnia, w którym zebrane przez nich materiały, ukryte pod ziemią w bańkach na mleko, zostaną zaprezentowane światu. „Niech ten skarb dostanie się w dobre ręce, niech dożyje lepszych czasów, niech zaalarmuje świat o tym, co się stało w XX wieku” – dodał.

Jego pragnienie się spełniło. Archiwum Ringelbluma jest dzisiaj świadectwem Zagłady i elementem pamięci – polskiej, ale i międzynarodowej. Tak samo jak 19 kwietnia, rocznica wybuchu powstania w getcie warszawskim. Świadectwem tego jest akcja społeczno-edukacyjna Żonkile, organizowana od 2013 r. przez Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, w trakcie której rozdawane są papierowe żonkile (przewiduje się, że w tym roku zostanie wręczony 3-milionowy kwiat). Marek Edelman, ostatni dowódca Żydowskiej Organizacji Bojowej, przez wiele lat w rocznicę rozpoczęcia walk dostawał od anonimowej osoby bukiet tych kwiatów. Sam także składał pod Pomnikiem Bohaterów Getta żółte kwiaty, często właśnie żonkile, które stały się symbolem pamięci i szacunku. Jak głoszą organizatorzy na oficjalnej stronie akcji, „od początku towarzyszy [jej] hasło «Łączy nas pamięć», które podkreśla siłę wspólnoty, znaczenie solidarności, potrzebę dialogu ponad podziałami. Głęboko wierzymy, że pamięć o przeszłości jest jedną z nadrzędnych wartości, które nas jednoczą i nadają nam wspólną tożsamość – niezależnie od światopoglądu czy sympatii politycznych”.

Przez lata działania te jako ambasadorzy i ambasadorki wspierały osoby znane i szanowane za swoją działalność, żeby wspomnieć tylko Andrzeja Seweryna, Ewę Woydyłło-Osiatyńską, Roberta Małkovicza, zespół Kwiat Jabłoni, Wandę Traczyk-Stawską, Mariana Turskiego,

Dawida Podsiadłę, ks. Adama Bonieckiego czy Katarzynę Nosowską. W tym roku do tego grona dołączyli Dominik Więcek, Julia Kamińska, Kamila Urzędowska, Krystyna Budnicka, ocalona z getta, oraz Mariusz Szczygieł, którego obecność wywołała ciąg gwałtownych reakcji.

28 marca w internecie pojawiła się petycja skierowana do dyrekcji Muzeum POLIN. Jej autorka Beata Lewkowicz zwróciła uwagę m.in. na to, że zaangażowanie znanego reportera nie spełnia kryterium neutralności. Problemem, jak pisze, nie jest jedna jego wypowiedź, ale cała narracja, którą Szczygieł się rzekomo posługuje, nakierowana na podkreślanie cierpienia palestyńskich i marginalizowanie izraelskich.

Beata Lewkowicz – a wraz z nią 608 osób, które podpisały petycję do 13 kwietnia – choć nie sprzeciwia się krytyce polityki Izraela, zauważa, że „w przestrzeni publicznej coraz częściej pojawiają się również wypowiedzi, w których używa się wobec Izraela określeń takich jak «ludobójstwo» czy formuł prowadzących do uogólnień dotyczących całej wspólnoty żydowskiej. Tego rodzaju język przekracza granicę krytyki politycznej i ma realne konsekwencje społeczne”.

Kilka dni później, 1 kwietnia, do prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego wpłynęła z kolei petycja autorstwa Marii Świetlik, antropolożki i aktywistki, oraz Adama Lipszyca, filozofa i tłumacza związanego z Instytutem Filozofii i Socjologii PAN. Zaapelowali oni, aby władze miasta w wyrazie sprzeciwu wobec działań Izraela w Strefie Gazy nie wywieszały 19 kwietnia flag izraelskich. „W obliczu trwającej przemocy i cierpienia ludności cywilnej w Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu dla wielu osób symbol ten nabrał niestety złowrogich znaczeń. Stał się symbolem nacjonalistycznej instrumentalizacji pamięci o Zagładzie i znakiem, pod którym dokonuje się ludobójstwo narodu palestyńskiego. Możemy nad tą zmianą znaczenia ubolewać, ale nie możemy jej zignorować” – piszą autorzy listu.

Wojna na petycje z całą mocą uderzyła w pamięć o niezujących, którzy są instrumentalnie wykorzystywani do wzmacniania opinii o otaczającej nas rzeczywistości. Po raz kolejny okazuje się, że rację miał Binyavanga Wainaina, kenijski pisarz i dziennikarz, gdy stwierdzał w swoich wspomnieniach: „Przekleństwo przeszłości polega na tym, że ona zawsze zaczyna się akurat teraz. Perspektywa czasu nagne fakty do aktualnych potrzeb – to aparat ortodontyczny, który każde-emu naprostuje szczękę i wolę. Perspektywa czasu, jeśli się pragnie dość mocno, znosi niepewność. Wyselekcjonowana przeszłość staje się argumentem za działaniem” (przeł. Marcin Michalski).

Co wolno pisać o bohaterach

Kilka tygodni temu nakładem Krytyki Politycznej ukazała się książka Kornelii Sobczak, „Zośka i Rudy. O miłości, przyjaźni i Polsce”. Dzieło ma swoje wady, np. niedocenianie znaczenia propagandowego charakteru „Kamieni na szaniec”, które pełniły rolę dzieła formacyjnego dla pokolenia ówczesnej młodzieży. Kamiński chciał kształtować takie postawy jak

oddanie sprawie, poświęcenie dla organizacji i dla przyjaciół, co często było tożsame, uczulić na konsekwencje aresztowań czy w końcu zapewnić ludzi, że w razie aresztowania mogą liczyć na pomoc przyjaciół. Służąc za wzorzec zachowań, „Kamienie...” musiały pewne rzeczy upraszczać. Pominięcie tego elementu prowadzi Sobczak do różnych nieuprawnionych wniosków. Ale w książce znajdziemy i dobre strony. Przede wszystkim na uwagę zasługuje to, że opowiadając o Polsce przed- i wojennej skłania nas do zastanowienia się, na ile mówimy o prawdziwej historycznej, a na ile o wyobrażeniu o niej. To cenne ćwiczenie.

W przestrzeni prasowo-internetowej dyskutowano jednak o tej pracy głównie w kontekście stwierdzeń o możliwości homoerotycznego związku Tadeusza Zawadzkiego z Janem Bytnarem. Wcale nie nowych – pierwsze próby rozmowy na ten temat podjęła już 13 lat temu Elżbieta Janicka z Instytutu Sławiastyki PAN. Temperatura ówczesnego sporu osiągała chwilami wartości bliskie wrzeniu. Obecnie trudno było nawet o poczucie najmniej-szego ciepła. Zupełnie jakby temat przestał zajmować ludzi. Nic bardziej mylnego.

7 kwietnia na profilu Kanału Zero na YouTubie ukazał się materiał na temat tej książki, przygotowany przez dziennikarza Tomasza Wolnego. Coś, co miało być recenzją, a co sam autor nazwał „sekcją zwłok”, jest odrzuceniem a priori możliwości innego niż dotychczas odczytywania źródeł, a co za tym idzie rzeczywistości bohaterów „Kamieni na szaniec”, czyli kręgosłupa całej narracji Sobczak. Ale Wolny nie wchodzi w naukowe rozważania. On nawet nie mówi o całej książce. Do wysuwania swoich wniosków wystarczy mu część poświęcona relacji Zawadzkiego i Bytnara. Wątki takie jak nieobecność kobiet u Kamińskiego albo potencjalna przynależność Bytnara do Obozu Narodowo-Radykalnego zamyka w jednym zdaniu. Resztę czasu poświęca na cytowanie fragmentów książki i wysmiewanie ich z wykorzystaniem fraz takich jak „bełkot”, „urojenia”, sprowadzając temat do absurdu, bo tak należy nazwać sugestie, aby opowiedzieć o miłości Kmicica i Soroki albo bohaterów „Sąsiadów” (dobranocki). Szczyty osiąga, drwiąc z tożsamości płciowej Kornelii Sobczak, która identyfikuje się jako osoba niebinarna.

Zbierając to wszystko razem, należałoby uznać, że materiał Tomasza Wolnego nie zasługuje na wzięcie do jakiegokolwiek debaty. Niestety przeczą temu liczby. Do 13 kwietnia film został wyświetlony na YouTubie ponad 176 tys. razy i otrzymał 2286 komentarzy. Do tego na facebookowym profilu Wolnego znalazły się 134 komentarze, 187 udostępnień i 1029 reakcji. Każdy z tych elementów składa się na potencjał wpływania nagrania na postrzeganie książki. Wielu widzów, o czym sami piszą, nie zamierza sięgnąć po lekturę, co nie przeszkadza im w wygłaszaniu opinii na jej temat. Zdecydowana większość popiera treści zawarte w materiale. W komentarzach, oprócz ogromu treści nienadających się do powtarzania, pojawiły się teksty o „ohydnych osobach autorskich”, o profanacji i ośmieszaniu bohaterów, ale i podziękowania za ich obronę czy też sugestie, że w lepszym świecie Sobczak odebrałaby doktorat, a 30 lat temu zostałaby za-

mknięta w zakładzie psychiatrycznym. Niektórzy wzywają do wytoczenia jej procesu. Podobne opinie można znaleźć na lubimyczytac.pl, popularnym portalu o książkach. Od 7 kwietnia lawinowo przybyło tam nieprzychylnych komentarzy i ocen tytułu na poziomie 1 gwiazdki na 10 możliwych. Obecnie średnia „Zośki i Rudego...” wynosi przerażająco niskie 2,6. Kierując się tym kryterium przy wyborze lektury, a sam tak często robię, przy tak masowej krytyce po dzieło to już nie sięgną. Z materiałem Wolnego jest więc tak, jak w wierszu „Nauczono papugę wyrazów o sztuce” Stanisława Wyspiańskiego, że choć „jakkolwiek rzecz ta kształtu Sztuki nie odmieni,/ frazes jednak wystarczy, by Myśl diabli wzieni”.

O krok od stosu

Ten festiwal niechęci, a wręcz nienawiści motywowanej wyłącznie odmiennymi poglądami, bo przecież nie realną i merytoryczną krytyką, przypomina, jak bardzo internet przybrał formę nowego trybunału inkwizycyjnego wydającego wyroki bez zawahania i z pełną surowością.

„Ze wszystkich bowiem nauk historia jest najbardziej narażona na zakusy tych, którzy chcieliby ją sobie podporządkować” – pisał w „Uchu igielnym” zmarły niedawno Wiesław Myśliwski. Ta właściwość historii towarzyszy jej od samego początku. Już starożytni pisali teksty wychwalające władców. Rozumieli to też XIX- i XX-wieczni historycy tworzący historiografię narodowe, dzisiaj zaś korzystają z tego ci, którym zależy na zysku – politycznym, finansowym, ideowym. W każdym przypadku podstawowym sposobem zarządzania jest stawianie granic, twardych, ale na tyle płynnych, aby można było je przesuwac w zależności od potrzeb, oraz szybkie i zdecydowane reagowanie w momencie, w którym ktoś je przekroczy, choćby i nieświadomie. Pozwala to wyzwać wśród publiki emocje, przez które można zarządzać rzeczywistością.

Tymczasem historia nie jest i nie powinna być czarno-biała. Historyk nie może stawiać się w roli cenzora czy sędziego wydającego wyroki skazujące. Jego podstawową rolą jest zrozumienie. – Dzisiejsze prądy kulturowe i polityczne płyną w przeciwnym kierunku – zacierania wydarzeń z przeszłości lub wykorzystywania ich do zupełnie niezwiązanych z nimi celów. Nasz obowiązek polega na nieustannym korygowaniu tych tendencji. To szyfrowa praca, zniekształcenia się zmieniają, ciągłych zmian wymagają więc również korekty – mówił w rozmowie z Timothy Snyderem nieżyjący już historyk Tony Judt.

Naszym obowiązkiem jest odmalowywanie przeszłości z wykorzystaniem pełnej palety barw. Z odpowiedzialnością wobec społeczeństwa, w którym żyjemy – i z szacunkiem do tych, z którymi się nie zgadzamy. Nie mając bowiem patentu na nieomyślność, powinniśmy pamiętać, że po wpisaniu autora czy autorki na indeks ksiąg zakazanych jesteśmy już tylko krok od zmuszenia ich do wejścia na stos. ©©

Autor jest historykiem, pisarzem i muzealnikiem, na co dzień zajmuje się historią Polski w pierwszej połowie XX w., polskimi powstaniami, wpływem wojny na ludzką psychikę oraz pamięcią historyczną

KOMUNIKATY



WOJEWODA MAZOWIECKI

Warszawa 02 kwietnia 2026 r.

SPN-IV.752.260.2022

Stosownie do art. 37b ust. 2 ustawy z dnia 8 września 2000 r. o komercjalizacji i restrukturyzacji przedsiębiorstwa państwowego „Polskie Koleje Państwowe” – informuję o zamiarze potwierdzenia:

- 1) nabycia przez Skarb Państwa z mocy prawa z dniem 1 czerwca 2003 r. prawa własności gruntu zajętego pod część linii kolejowej Krusze - Pilawa, położonego w powiecie otwockim, gmina Kołbiel, obręb 0019 Rudno stanowiącego działkę nr 427/1 o powierzchni 0,0100 ha i nr 518/1 o powierzchni 0,0007 ha
- 2) nabycia z mocy prawa z dniem 1 czerwca 2003 r. przez PKP S.A. prawa użytkowania wieczystego gruntu opisanego w punkcie 1.

Jednocześnie zawiadamiam, że jeżeli w terminie dwóch miesięcy od dnia zamieszczenia niniejszego obwieszczenia nie zgłoszą się osoby, którym przysługują prawa rzeczowe do powyższych nieruchomości, wydana zostanie decyzja potwierdzająca ww. prawa.



WOJEWODA MAZOWIECKI

Warszawa, 03 kwietnia 2026 r.

SPN-IV.752.13.2022

Stosownie do art. 37b ust. 2 ustawy z dnia 8 września 2000 r. o komercjalizacji i restrukturyzacji przedsiębiorstwa państwowego „Polskie Koleje Państwowe” – informuję o zamiarze potwierdzenia:

- 1) nabycia przez Skarb Państwa z mocy prawa z dniem 1 czerwca 2003 r. prawa własności gruntu zajętego pod część linii kolejowej Warszawa Wschodnia Osobowa - Gdańsk Główny, położonego w Mieście Stołecznym Warszawa, Dzielnicy Białołęka stanowiącego działkę nr 6/1 o powierzchni 1,0961 ha z obrębem 4-04-12,
- 2) nabycia z mocy prawa z dniem 1 czerwca 2003 r. przez PKP S.A. prawa użytkowania wieczystego gruntu opisanego w punkcie 1.

Jednocześnie zawiadamiam, że jeżeli w terminie dwóch miesięcy od dnia zamieszczenia niniejszego obwieszczenia nie zgłoszą się osoby, którym przysługują prawa rzeczowe do powyższych nieruchomości, wydana zostanie decyzja potwierdzająca ww. prawa.

OBWIESZCZENIE

z dnia 17 kwietnia 2026 r.

Stosownie do art. 8 ust. 1 pkt 3 i ust. 1a, w związku z art. 15 ust. 4 ustawy z dnia 24 kwietnia 2009 r. – o inwestycjach w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu (t.j. Dz.U. z 2025 r., poz. 1222) oraz art. 10 § 1 i art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. – Kodeks postępowania administracyjnego (t.j. Dz. U. z 2025 r. poz. 1691)

WOJEWODA PODKARPACKI
Z A W I A D A M I A

że na wniosek z dnia 29.12.2025 r. (otrzymany 30.12.2025 r.), uzupełniony przy pismach z dnia 16.01.2026 r. i 20.01.2026 r., Operatora Gazociągów Przesyłowych GAZ-SYSTEM S.A., ul. Mszczonowska 4, 02-337 Warszawa, zostało wszczęte postępowanie administracyjne

znak: I-VI.7840.1.13.2025

w sprawie **wydania decyzji o pozwoleniu na budowę inwestycji pn.: „Budowa sieci gazowej wysokiego ciśnienia w ramach zadania pn.: „Opracowanie dokumentacji projektowej wymiany odcinków gazociągu DN400 Sędziszów – Tarnów Mościce w m. Dębica i Nagawczyna”**,

zlokalizowanej na terenie województwa podkarpackiego, w powiecie dębickim, na działkach o numerach ewidencyjnych:

- **jednostka ewidencyjna 180304_2 Dębica gmina, obręb 0007 Nagawczyna**
6/34 (RZ1D/00059247/8), 6/35 (RZ1D/00036518/2), 6/36 (RZ1D/00059247/8), 6/37 (RZ1D/00036518/2), 6/38 (RZ1D/00059247/8), 6/39 (RZ1D/00036518/2), 20/30 (RZ1D/00086815/9), 20/44 (RZ1D/00035665/0), 20/45 (RZ1D/00040069/0), 20/47 (-), 890/1 (RZ1D/00078967/0), 1075/1 (RZ1D/00086815/9),
- **jednostka ewidencyjna 180301_1 Dębica, obręb 0003 Dębica**
503/4 (RZ1D/00045474/7), 504/5 (RZ1D/00095214/2), 546 (RZ1D/00042222/5), 886 (RZ1D/00045473/0), 925/1 (RZ1D/00088504/0),
- **jednostka ewidencyjna 180301_1 Dębica, obręb 0004 Dębica**
1033 (RZ1D/00050446/0), 1041/1 (RZ1D/00070217/2), 1044/7 (RZ1D/00045838/7), 1088/3 (RZ1D/00053888/1), 1088/6 (RZ1D/00074316/4), 1088/10 (RZ1D/00053888/1), 1088/11 (RZ1D/00053888/1),
- **jednostka ewidencyjna 180301_1 Dębica, obręb 0005 Dębica**
2276/3 (RZ1D/00061385/4), 2276/4 (RZ1D/00061385/4), 2282 (RZ1D/00063659/0), 2311 (RZ1D/00044634/0), 2312 (RZ1D/00060730/1)

– w nawiasie podano numer księgi wieczystej

Z aktami sprawy strony niniejszego postępowania mogą zapoznać się w siedzibie Podkarpackiego Urzędu Wojewódzkiego w Rzeszowie, ul. Grunwaldzka 15, pokój 361, w dniach pracy urzędu, po wcześniejszym telefonicznym uzgodnieniu terminu i godziny przyjęcia (tel. 17 867 13 61 lub 17 867 13 52) i złożyć swoje wnioski i zastrzeżenia.

Jednocześnie informuję, że w trakcie prowadzonego postępowania, postanowieniem z dnia 22.01.2025 r., znak: I-VI.7840.1.13.2025 (zmienionym postanowieniem z dnia 25.03.2026 r., znak: I-VI.7840.1.13.2025), nałożono na inwestora obowiązek uzupełnienia dokumentów (projektu zagospodarowania terenu i projektu architektoniczno-budowlanego), z którego Inwestor wywiązał się w wyznaczonym terminie. Wszystkie dokumenty niezbędne do wydania decyzji w powyższej sprawie zostały skompletowane.

Zgodnie z art. 8 ust. 3 i 3a, w związku z art. 15 ust. 4 ustawy z dnia 24 kwietnia 2009 r. - o inwestycjach w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu, w przypadku gdy po doręczeniu niniejszego zawiadomienia nastąpi:

- 1) zbycie własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie decyzji o pozwoleniu na budowę inwestycji w zakresie terminalu,
- 2) przeniesienie wskutek innego zdarzenia prawnego własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie pozwolenia na budowę inwestycji w zakresie terminalu
 - nabywca, a w przypadku, o którym mowa w pkt 1, nabywca i zbywca, są obowiązani do zgłoszenia Wojewodzie Podkarpackiemu danych nowego właściciela lub użytkownika wieczystego.

Niedokonanie powyższego zgłoszenia i prowadzenie postępowania bez udziału nowego właściciela lub użytkownika wieczystego nie stanowi podstawy do wznowienia postępowania.

PREZYDENT OLSZTYNA

podaje do publicznej wiadomości
wyciąg z ogłoszenia o II przetargu ustnym nieograniczonym
na sprzedaż nieruchomości Gminy Olsztyn
(I przetarg odbył się w dniu 16 stycznia 2026 r.)

Oznaczenie nieruchomości według księgi wieczystej oraz katastru nieruchomości	nieruchomości gruntowe niezabudowane, położone w obrębie nr 141 m. Olsztyn przy ul. Gołębiej , zapisane w Księdze Wieczystej OL10/00039533/0 , oznaczone numerami ewidencyjnymi: 31/2, 31/9, 31/10, 31/11
Powierzchnia nieruchomości	31/2 o pow. 1363 m ² ; 31/9 o pow. 1056 m ² ; 31/10 o pow. 1042 m ² ; 31/11 o pow. 1168 m ²
Przeznaczenie nieruchomości	sprzedaż nieruchomości w trybie przetargu ustnego nieograniczonego pod zabudowę mieszkaniową jednorodzinną wolnostojącą
Cena wywoławcza	<ul style="list-style-type: none"> • działka ozn. nr ewid. 31/2, o pow. 1363 m²: 550 000,00 zł • działka ozn. nr ewid. 31/9, o pow. 1056 m²: 425 000,00 zł • działka ozn. nr ewid. 31/10, o pow. 1042 m²: 420 000,00 zł • działka ozn. nr ewid. 31/11, o pow. 1168 m²: 470 000,00 zł ceny nieruchomości ustalone w drodze przetargu zostaną opodatkowane podatkiem VAT w stawce 23%
Termin i miejsce przetargu	19.06.2026 r. godz. 10.00 w siedzibie Urzędu Miasta Olsztyn, Plac Jana Pawła II Nr 1, sala 219 (II piętro)
Wysokość wadium	10% ceny wywoławczej dotyczącej danej nieruchomości należy wpłacić na rachunek Urzędu Miasta Olsztyn prowadzony przez Bank Handlowy w Warszawie S.A. numer konta 77 1030 1508 0000 0008 2300 1003 do dnia 15.06.2026 r. Wpłacone wadium winno znajdować się w dniu 15.06.2026 r. na koncie Urzędu Miasta Olsztyn
Miejsce wywieszenia i publikacji ogłoszenia o przetargu	ogłoszenia o przetargach organizowanych przez Prezydenta Olsztyna dostępne są w Internecie pod adresem: www.gratka.pl , www.olsztyn.eu , www.infopublikator.pl , www.infoinwestycje.pl , w Biuletynie Informacji Publicznej prowadzonym przez Urząd Miasta Olsztyn pod adresem bip.olsztyn.eu oraz na elektronicznej tablicy ogłoszeń Urzędu Miasta Olsztyn
Szczegółowych informacji o przetargu udziela	Wydział Geodezji i Gospodarki Nieruchomościami Urzędu Miasta Olsztyn, Pl. Jana Pawła II nr 1, pokój 112, I piętro tel. 89-50-60-335

AUTOPROMOCJA

WWW.IKOMUNIKATY.PL

Ogłoszenia w Dzienniku Gazecie Prawnej

gazeta + internet

Ewa Gromek-Tyburska, ewa.gromek@infor.pl, tel. 510 024 764

Kinga Kucharska, kinga.kucharska@infor.pl, tel. 668 450 116



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Jak się pierze rosyjską ropę

Rafał Woś

Czy da się pracować ropą naftową? Da się. I to właśnie działo się po ataku Rosji na Ukrainę. A Europa udawała, że nic nie widzi – bo tak było wygodniej.

W lipcu 2022 r. UE zdecydowała, że przestanie kupować od Moskwy nieprzetworzoną ropę od grudnia 2022 r. (dotyczyło to tylko surowca dostarczanego do europejskich portów drogą morską, rurociągi z tego ograniczenia wyłączono). W grudniu 2022 r. doszedł do tego zakaz kupowania od Rosji przetworzonych produktów naftowych, który wszedł w życie w lutym 2023 r. Czy to oznacza, że Rosja przestała zaopatrywać Europę w ropę i diesla? Oczywiście, że nie. Ostatnio pogłębioną i pełną danych pracę na ten temat przedstawili japońscy ekonomiści Tadashi Ito i Kiyoyasu Tanaka.

Pranie polega na tym, że ropa od 2023 r. zamiast do UE zaczęła trafiać do państw trzecich – formalnie dystansujących się od stawiania po którejsz ze stron konfliktu. Wśród nich najważniejsze były Chiny, Indie, Turcja, Singapur i Zjednoczone Emiraty Arabskie. W tej kolejności. W modelu Ito i Tanaki kraje te dosłownie są nazywane pralnią rosyjskiej ropy. O ile przed wybuchem wojny ich import rosyjskiej ropy pozostawał na mniej więcej stałym poziomie, to po 2022 r. skoczył gwałtownie w górę. Zwiększając się (łącznie dla wszystkich) o 200 proc. w 2022 r., 5 tys. proc. w 2023 r. i 10 tys. proc. w 2024 r.

Unijne sankcje zadziałały tu jak podpałka podłożona pod chrust. Postawieni pod murem Rosjanie musieli zacząć sprzedawać ropę po mocno obniżonej cenie, co tylko zachęciło kolejne kraje do świadczenia usługi pośrednictwa. By zrozumieć skalę tego zjawiska, warto wskazać kilka liczb. Takie np. Indie w 2021 r. sprowadziły z Rosji 4,5 mln t ropy nieprzetworzonej; w 2024 r. ich import wynosił już prawie 100 mln t. Z pralni rosyjska ropa i produkty ropopochodne mogły już płynąć sobie spokojnie do Unii.

Jedynym sposobem ograniczania zysków Putina był nałożony na początku 2023 r. mechanizm ograniczonej ceny. Zgodnie z tą zasadą wpływający do krajów UE oraz G7 import pochodzący z Rosji paliwa musiał mieć dokumentację dowodzącą, że nie został pozyskany zbyt drogo. Te przepisy w praktyce były jednak trudne w realizacji z powodu rozbudowy przez Kreml floty cieni – statków operujących poza oficjalnym obiegiem morskim albo na jego obrzeżach, co pozwalało pompować na Zachód rosyjską ropę bez odpowiedniej dokumentacji. Innym sposobem na obchodzenie tych przepisów przez kraje pralni było używanie rosyjskiego surowca na potrzeby własne, przy jednoczesnym eksporcie do Europy produkcji własnej. Co czyniły np. kraje Zatoki Perskiej.

Ten schemat pomógł Putinowi w finansowaniu wojny przeciwko Ukrainie. Sprawił, że w latach 2023–2024 Rosja notowała rekordowe nadwyżki handlowe (spowodowane także tym, że równoległe Europa wygaszała eksport do Rosji). Moskwa zaś, przyjmując od 2022 r. zapłatę za surowce wyłącznie w rublach, zapewniła sobie stabilny kurs waluty. Tak przysły wszelkie nadzieje na to, że Putin i jego reżim pękną pod wpływem zachodnich sankcji.

W tym wszystkim ciekawe jest jednak jeszcze coś. Ito i Tanaki pokazują, że zjawisko prania rosyjskiej ropy po 2022 r. dotyczyło niemal wyłącznie UE. W tym samym czasie inne kraje, które nałożyły na Putina sankcje (USA, Kanada, Australia), nie zanotowały znaczącego wzrostu importu ropy z krajów trzecich. Co nie jest oczywiście żadnym dowodem ich szlachetności, tylko raczej tego, że są to kraje dalece bardziej od Europy Zachodniej suwerenne energetycznie. ©

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność”

Każdy za siebie czy jedni za drugich?

Sylwia

Radomska

Autorka jest ekonomistką GRAPE

W dyskusjach o studiach często powraca hasło darmowej edukacji finansowej z podatków, gdyż – jak podkreślają zwolennicy takiego rozwiązania – wykształcone społeczeństwo jest dobrem publicznym. Lance Lochner (Uniwersytet Zachodniego Ontario) oraz Enrico Moretti (Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles) wykazali, że edukacja zmniejsza prawdopodobieństwo popełnienia przestępstw, m.in. zabójstw. Oszacowali, że wzrost odsetka mężczyzn z wykształceniem średnim o 1 pkt proc. obniża koszty przestępczości w USA o ok. 1,4 mld dol. rocznie. Ale ekonomiści przypominają: nie ma darmowego lunchu. Koszt kształcenia zawsze ktoś ponosi – jeśli nie student, to podatnicy.

Badania Lansa Bovenberga (Uniwersytet w Tilburgu) i Basa Jacobsa (Uniwersytet Rotterdamski) wskazują, że przy progresywnych podatkach dochodowych subsydia edukacyjne są potrzebne, by zrekomensować zniekształcenia w akumulacji kapitału ludzkiego. Ale Ron Diris (Uniwersytet w Lejdzie) i Erwin Ooghe (Katolicki Uniwersytet w Lowanium) pokazali,

że system podatkowego finansowania studiów staje się regresywny: większość uczących się i tak pochodzi z zamożniejszych rodzin, co oznacza, że pracownik najemny bez wyższego wykształcenia finansuje edukację przyszłych lekarzy czy prawników. W krajach o dużym udziale państwa (np. Skandynawia) regresja była szczególnie widoczna, natomiast tam, gdzie studenci ponoszą znaczną część kosztów (Holandia, Wielka Brytania), systemy były bardziej progresywne.

Często słyszymy, że finansowanie studiów z podatków poprawia mobilność społeczną: dzieci z biednych rodzin zyskują szansę zdobycia wykształcenia. Rzeczywiście, niższe czesne przyciąga kandydatów z uboższych środowisk, lecz część z nich nie kończy nauki z powodu słabszego przygotowania. Dirk Kruger (Uniwersytet Pensylwanii), Alexander Ludwig (Europejski Instytut Uniwersytecki) i Irina Popova (Uniwersytet w Bonn) proponują kompromis – zamiast niskiego czesnego lepiej inwestować w podniesienie jakości edukacji w szkołach podstawowych i średnich oraz wprowadzić pożyczki zależne od

dochodu, które absolwenci spłacają po przekroczeniu określonego progu zarobków. Takie hybrydowe rozwiązania zwiększają dostęp do edukacji, a jednocześnie wiążą koszt studiów z realnymi korzyściami z dyplomu i zapobiegają regresywnej redystrybucji.

Jak więc finansować edukację? Systemy oparte wyłącznie na podatkach są politycznie atrakcyjne, ale często regresywne i nieefektywne. Finansowanie czysto prywatne ogranicza dostęp studentom z mniej zamożnych rodzin. Najbardziej obiecujące wydają się systemy hybrydowe – pożyczki zależne od dochodu, podatki absolwenckie czy podatki od dyplomu. Łączą one elementy sprawiedliwości i efektywności: pozwalają dzielić koszty między społeczeństwo a beneficjentów, oferują ubezpieczenie od ryzyka dochodowego oraz zachęcają do inwestowania w kapitał ludzki. Debata o darmowych studiach często spłyca problem. Rzeczywiste pytanie brzmi: jak zaprojektować system, który równocześnie zwiększy dostępność edukacji, zapewni wysoką jakość kształcenia i sprawiedliwie rozłoży koszty? ©

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny:
Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowiec

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn: Anna Masłoń
(kierownik), Piotr Czarnowski,
Emilia Świętochowska, Maciej
Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie:
Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik
PiK), Magdalena Sobczak
(tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Płace:
Urszula Mirowska-Łoskot,
Joanna Pieńczykowska-
Rybczyk (tygodnik SiA),
Leszek Jaworski
(tygodniki KiP i UiS)

Firma i Prawo
oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FiP)

projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki
Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum
Reklamy:
Marcin Ośmiałowski
Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biurowisko Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie
biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing
Group S.A.



Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania
i skracania tekstów. Rozpowszechnianie
materiałów redakcyjnych zarówno w formie
elektronicznej, jak i papierowej bez zgody
wydawcy jest zabronione.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich;
® – znak odpłatności;

© – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego
wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem
(www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem
korzystania z artykułów prasowych



Zamówienia
na prenumeratę
przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje
o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata



Informujemy rzetelnie
Doradzamy profesjonalnie



dgp.pl to więcej korzyści dla Ciebie

+ więcej treści:

- rozmowy wideo z ekspertami
- raporty specjalne i pogłębione analizy
- przydatne w pracy kalkulatory
- biblioteka e-poradników i wydań archiwalnych

+ na bieżąco:

- o zmianach w prawie natychmiast po ich ogłoszeniu
- newslettery i alerty dotyczące kluczowych przepisów
- zaawansowana wyszukiwarka merytoryczna

6 miesięcy **ponad -40%** rabatu

Wejdź na dgp.pl/subskrypcja

Ciepłownicy: Z konsekwentnie realizowaną strategią rozwoju

Wyrównana stawka uczestników oraz aż sześć firm ciepłowniczych na podium – to najkrótsza charakterystyka tegorocznej edycji Ogólnopolskiego Rankingu Najlepszych Przedsiębiorstw Energetyki Ciepłej. Po raz kolejny w krajowym zestawieniu zwyciężyła Veolia Energia Warszawa S.A., która wyprzedziła ciepłowników z Lublina, Siedlca i Bydgoszczy. Z kolei najniższy stopień podium podzieliły między siebie Radomskie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej „RADPEC” S.A. oraz Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej – Gliwice Sp. z o.o.

Jak co roku, zapraszamy naszych Czytelników do zapoznania się z pełną tabelą rankingową oraz wizytówkami niektórych Laureatów w wydaniu gazetowym, a także z szerszymi prezentacjami dostępnymi na stronie www.strefa-gospodarki.pl

Marek Goluch, Prezes Zarządu Lubelskiego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej S.A.:

Il miejsce w rankingu to dla nas powód do dumy i potwierdzenie, że LPEC skutecznie realizuje strategię rozwoju nowoczesnego systemu ciepłowniczego. To wyróżnienie jest przede wszystkim zasługą naszych pracowników, któ-

rym serdecznie dziękuję za kompetencje, odpowiedzialność i zaangażowanie. Odpowiadamy za sieć – jej bezpieczeństwo, sprawność i przygotowanie na wyzwania przyszłości. Dlatego konsekwentnie inwestujemy w jej rozbudowę, modernizację oraz transformację cyfrową, wdrażając systemy telemetrii, telemechaniki i zaawansowanej analityki danych. To rozwiązania, które pozwalają lepiej zarządzać siecią, ograniczać straty i zwiększać bezpieczeństwo dostaw ciepła. Jednocześnie dane za miniony rok potwierdzają, że cały lubelski system ciepłowniczy właściwie odpowiada na wyzwania transformacji energetycznej – udział węgla w strukturze paliw wykorzystywanych do produkcji ciepła spadł już do 12%.

Wojciech Pawlik, Prezes Zarządu – Dyrektor Przedsiębiorstwa Energetycznego w Siedlcach Sp. z o.o.:

Zdobycie drugiego miejsca w Ogólnopolskim Rankingu Przedsiębiorstw Energetyki Ciepłej, jest dla nas dużym wyróżnieniem i potwierdzeniem, że konsekwentnie realizowana strategia rozwoju przynosi wymierne efekty. To sukces całego zespołu Przedsiębiorstwa Energetycznego w Siedlcach Sp. z o.o., którego wiedza,



doświadczenie i zaangażowanie przekładają się na wysoką jakość świadczonych usług. Naszym priorytetem pozostaje dalsza modernizacja infrastruktury ciepłowniczej oraz inwestycje w rozwiązania zwiększające efektywność energetyczną i niezawodność dostaw ciepła. Rozwój nowoczesnego systemu ciepłowniczego, to nie tylko wzmocnienie bezpieczeństwa energetycznego miasta Siedlce, ale także realna poprawa komfortu życia mieszkańców.

Janusz Fic, Prezes Zarządu MPGK – Krośnieński Holding Komunalny Sp. z o.o.:

Czwarta pozycja w Polsce, to dla nas coś więcej niż tylko miejsce w tabeli. To potwierdzenie, że Krośnieński Holding Komunalny nie tylko nadąża za zmianami, ale wręcz jest w czołówce firm, które dyktują tempo transformacji ener-

getycznej w naszym kraju. Nasza pozycja w ścisłej elicie rankingu dowodzi naszej żelaznej konsekwencji – od lat budujemy system, który jest stabilny, nowoczesny i, co najważniejsze, oparty na ludziach. Ten sukces to zasługa naszych pracowników. To ich wiedza i codzienna praca pozwalają nam wyznaczać wysokie standardy. Dziś inwestycje w OZE i transformację energetyczną to już nie wybór, a nasz obowiązek wobec mieszkańców. Dziękujemy Kapitulie za to wyróżnienie – dla nas to duży bodziec do dalszego działania.

Jerzy Woźniak, Prezes Zarządu Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej Sp. z o.o. w Radzynie Podlaskim:

Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej Sp. z o.o. w Radzynie Podlaskim zajęło w tym roku wyższe, bo piąte miejsce w Ogólnopolskim Rankingu Najlepszych Przedsiębiorstw Energetyki Ciepłej 2026, za co serdecznie dziękujemy Kapitulie. Jest to dla nas zaszczyt, że znaleźliśmy się w pierwszej piątce krajowych producentów ciepła. Jesteśmy niewielką firmą, ale z dużymi ambicjami w zakresie zaopatrywania naszych odbiorców w energię ciepłą na coraz wyższym poziomie. Nasze zabiegi modernizacyj-

ne przynoszą wymierne efekty, dzięki którym mamy trwałe podstawy finansowe pozwalające inwestować w nowoczesne technologie. Niebawem zintensyfikujemy

swoje działania pozyskując dalsze dotacje na zadania z udziałem OZE. Dziękuję zarządce za sumienne i wytrwałe wykonywanie coraz trudniejszych obowiązków.

1.	Veolia Energia Warszawa S.A.
2.	Lubelskie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej S.A. Przedsiębiorstwo Energetyczne w Siedlcach Sp. z o.o. Komunalne Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej Sp. z o.o. w Bydgoszczy
3.	Radomskie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej „RADPEC” S.A. Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej – Gliwice Sp. z o.o.
4.	Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej – Krośnieński Holding Komunalny Sp. z o.o. Miejskie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej Sp. z o.o. w Olsztynie
5.	Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej Sp. z o.o. w Radzynie Podlaskim Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej Sp. z o.o. w Mińsku Mazowieckim
6.	Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej w Gnieźnie Sp. z o.o. Miejskie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej S.A. w Tarnowie
7.	Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej Sp. z o.o. w Świnoujściu
8.	ENGIE EC Słupsk Sp. z o.o. Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej Sp. z o.o. w Stargardzie
9.	Miejskie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej Sp. z o.o. w Chełmie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej Geotermia Podhalańska S.A.
10.	Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej Sp. z o.o. w Brodnicy
Wyróżnienia: Ciepłownia Sierpc Sp. z o.o.	

Dostarczamy bezpieczne i nowoczesne ciepło

Veolia Energia Warszawa zajęła I miejsce w Ogólnopolskim Rankingu Najlepszych Przedsiębiorstw Energetyki Ciepłej 2026. To czwarte już wyróżnienie ma dla mnie szczególne znaczenie, bo nie jest nagrodą indywidualną. To potwierdzenie jakości pracy załogi i decyzji podejmowanych każdego dnia. Jest sukcesem wszystkich pracowników.



Paweł Orlof, prezes zarządu, dyrektor generalny Veolii Energii Warszawa S.A.

W energetyce ciepłowniczej ranking nie premiuje obietnic. Premiuje efekty – niezawodność, odpowiedzialność, bezpieczeństwo, stabilność dostaw i jakość obsługi. Naszą misją jest zapewnianie bezpiecznych i ciągłych dostaw ciepła dla mieszkańców. Dlatego to wyróżnienie dedykuję przede wszystkim ekipom eksploatacyjnym, analitykom, dyspozytorom, specjalistom ds. sieci, służbom dyżurnym i wszystkim, którzy są „na pierwszej linii” w momentach wymagających szybkiej reakcji. To dzięki nim tegoroczna zima, której z taką intensywnością nie mieliśmy od dekady, była pod względem zaopatrzenia w ciepło bezpieczna dla Mieszkańców Warszawy. Sieć ciepłownicza pracowała bez uciążliwych przerw, a te, które były, likwidowano błyskawicznie.

Filar odpowiedzialności stanowi dziś transformacja energetyczna. To wieloletni i konsekwentny proces zmiany technologicznej, operacyjnej i inwestycyjnej, który

musi spełnić jeden warunek: bezpieczeństwo systemu. W Warszawie odpowiedzialność ta jest szczególnie, ponieważ odpowiadamy za największy system ciepłowniczy w Unii Europejskiej.

Rozwijamy nowoczesny mikrosystem. Ważną rolę odgrywają mikroźródła i wysokosprawna kogeneracja (CHP), które zwiększają elastyczność i odporność systemu, ograniczają straty przesyłowe, dostosowując produkcję do lokalnych potrzeb. Coraz większy nacisk kładziemy na odzyskiwanie ciepła i energii z procesów, instalacji i obiektów, w których dziś ciepło często „ucieka” bez wartości dla systemu.

Transformacja to jednak nie tylko technologia. To przede wszystkim ludzie. Jesteśmy dumni z kultury pracy opartej na bezpieczeństwie, jakości i odpowiedzialności. Nacisk na BHP i bezpieczną organizację pracy nie jest u nas dodatkem, jest warunkiem podstawowym. W branży infrastrukturalnej, gdzie pracuje się w trudnych warunkach i pod presją czasu, bezpieczeństwo musi stać ponad wszystkim. Takie konsekwentne podejście przekłada się także na stabilność zespołów i niewielką rotację pracowników. Wiedza, doświadczenie i współpraca międzypokoleniowa są w energetyce bezcenne, a ich utrzymanie to strategiczna przewaga.

Równie istotne są odważne decyzje inwestycyjne. Inwestujemy,

ponieważ wiemy, że bez inwestycji nie będzie ani poprawy efektywności, ani redukcji emisji, ani utrzymania konkurencyjności ciepła systemowego. A to oznacza między innymi modernizację aktywów, rozwój narzędzi zarządzania siecią, sposoby detekcji, wzmacnianie odporności systemu, przygotowanie do nowych standardów oraz budowę fundamentów dla gospodarki niskoemisyjnej.

Realna transformacja sektora ciepłowniczego potrzebuje stabilnego i przewidywalnego otoczenia regulacyjnego. Dlatego Veolia aktywnie uczestniczy w dialogu branżowym z ustawodawcą i regulatorem. Transformacja wymaga mechanizmów, które wspierają inwestycje, uwzględniają specyfikę systemów ciepłowniczych i pozwalają utrzymać równowagę między kosztami a bezpieczeństwem dostaw.

I miejsce w Rankingu traktujemy jako zobowiązanie do dalszej pracy, utrzymania najwyższych standardów, do konsekwentnego przyspieszania zmian. Dziękuję pracownikom za profesjonalizm, odpowiedzialność i codzienne zaangażowanie, a naszym partnerom w mieście, klientom i interesariuszom za współpracę oraz zaufanie.

Mieszkańcy Warszawy zasługują na jeszcze bardziej bezpieczne, nowoczesne i zielone ciepło. Ten sukces pokazuje, że wszystko to dostarczamy.





TO JUŻ! ZIMA 26/27

WWW.ITAKA.PL





REKLAMA

REKLAMA

Wasze zaufanie to nasza największa nagroda

Konsumentki Lider Jakości 2026

EXTRA VIRGIN OLIVE OIL

SUPERIOR CATEGORY GREEK OLIVE OIL

QLIVE

OBTAINED DIRECTLY FROM OLIVES AND SOLELY BY MECHANICAL MEANS

300 ml

www.dorapol.pl

REKLAMA

KUPIEC

— 1987 —

Dla uśmiechniętych, naturalnie!

DOCENIONA JAKOŚĆ DZIĘKUJEMY! ZA KOLEJNY ROK

KASZA GRZYCZANA PRĄŻONA

KASZA JĘCZMIENNA PERŁOWA

Konsumentki Lider Jakości 2026

Jakość bez kompromisów

Marka SUSHI TOKYO kolejny rok z rzędu zdobywa złote godło Konsumentki Lider Jakości tym razem za rok 2026 w kategorii „Gotowe zestawy sushi”. O roli jakości, wyzwaniach logistycznych, aktualnej ofercie i planach na najbliższą przyszłość ze Sławomirem Nogaczem, Członkiem Zarządu firmy Doppelt Sp. z o.o. producenta marki SUSHI TOKYO rozmawia Łukasz Osypiński.

– To już kolejne zwycięstwo w programie Konsumentki Lider Jakości. Czym jest dla Państwa zaufanie konsumentów jakie okazują już kolejny rok z rzędu?

– Kolejny tytuł Konsumentki Lidera Jakości to dla marki SUSHI TOKYO ogromne wyróżnienie i dowód, że bezkompromisowa dbałość o jakość wyznacza rynkowe standardy. To zaufanie potwierdza, że pasja naszego zespołu i autentyczny smak idealnie trafiają w gusta najbardziej wymagających klientów. Nagroda stanowi dla nas wszystkich ogromną nobilitację i wspólną motywację, by każdego dnia podnosić poprzeczkę jeszcze wyżej, dostarczając produkty będące synonimem najwyższej klasy w kategorii „food to go”

– Myślisz, iż pokazuje to również Państwa konsekwencję w dbaniu o dostarczanie na rynek finalnego produktu najwyższej jakości, co w Państwa przypadku jest szczególnie ważne.

– Zdecydowanie tak. W SUSHI TOKYO jakość oraz autentyczna pasja do kuchni japońskiej są wpisane w nasze biznesowe DNA. Ta konsekwencja to fundament, na którym nasz zespół buduje każdy produkt – od selekcji składników po finalne opakowanie. Wiemy, że w tej kategorii nie ma miejsca na kompromisy, dlatego każdego dnia wspólnie dbamy o to, by dostarczać na rynek produkt, który jest nie tylko bezpieczny i świeży, ale przede wszystkim zachwyca smakiem godnym prawdziwej restauracji.

– Co oprócz klasycznego sushi można znaleźć pod marką SUSHI TOKYO?



– Nasza oferta to znacznie więcej niż klasyczne zestawy. Prawdziwym hitem, który podbił serca klientów, są nasze kanapki onigiri oraz innowacyjne Wrap&Roll – to idealne połączenie japońskiej tradycji z wygodną formą przekąski 'do ręki', stworzone z myślą o osobach w ciągłym ruchu.

Stale rozbudowujemy menu o pozycje Poké Bowle, dostępne również w wersjach wysokobiałkowych, oraz rozgrzewające, aromatyczne zupy ramen. Ofertę deserową naszą linią deserową: przygotowujemy je na bazie napojów mlecznych i kokosowych z dodatkiem tapioki, chia czy płatków owsianych oraz świeżych owoców.

– A gdzie obecnie są dostępne Wasze produkty i czy powiększacie liczbę punktów w jakich można dostać Państwa produkty?

– Obecnie nasze produkty można kupić w sieciach Lidl, Kaufland, Żabka, Spar, Leclerc,

Polomarket, Makro, Selgros oraz Auchan. Jako zespół aktywnie pracujemy nad dalszym rozszerzaniem sieci sprzedaży, a nasze ambitne plany zakładają, że jeszcze w tym roku pojawią się w kolejnych, nowych sieciach handlowych.

– Co jest największym wyzwaniem w tak dużej skali sprzedaży jaką osiągnęliście?

– Głównym wyzwaniem jest dla nas logistyka ultra-fresh. Na rynku wciąż brakuje usług transportowych, które pozwalałyby skutecznie skracać obecny łańcuch do-

staw przy zachowaniu pełnej elastyczności.

Kolejny obszar to automatyzacja procesów operacyjnych. Jako młoda branża mierzymy się z brakiem dedykowanych rozwiązań technologicznych, dlatego sami przecieramy szlaki, wdrażając systemy dopasowane do unikalnych wymogów produkcji sushi.

– Co możecie obiecać na najbliższy czas Państwa konsumentom?

– Naszym konsumentom możemy obiecać przede wszystkim niezmienną w dążeniu do doskonałości. Pozostajemy wierni naszym fundamentom: bezkompromisowej jakości i pasji, które pozwalają nam oferować produkt premium w segmencie convenience.

W najbliższym czasie będziemy intensywnie pracować nad nowymi produktami, aby stałe zaskakiwać Państwa świeżymi, autentycznymi smakami w nowoczesnym wydaniu. Równolegle skupimy się na zwiększaniu dostępności naszej oferty w całym kraju. Każde kolejne wyróżnienie to dla nas zobowiązanie, by udowodnić, że sushi 'to go' pod marką SUSHI TOKYO to zawsze gwarancja najwyższej kulinarnej satysfakcji.

Raty Credit Agricole lubią klienci i przedsiębiorcy. Jakie korzyści w nich znajdują?

To zdecydowanie ulubione raty Polaków. Credit Agricole już po raz dziesiąty z rzędu zdobył tytuł Konsumentki Lidera Jakości. Klienci doceniają bank za rzetelną i profesjonalną obsługę, uczciwą ofertę i niskie oprocentowanie. Przedsiębiorcy cenią go za elastyczność we współpracy i skutecznie zwiększanie ich zysków.

Tytuł Konsumentki Lidera Jakości przyznawany jest najlepszym markom i firmom działającym na polskim rynku. Ranking tworzony jest na podstawie opinii ponad 15 tys. aktywnych klientów. Credit Agricole zdobył ten tytuł w 2017-18 oraz 2020-25. W 2024 roku kapituła konkursu przyznała mu również tytuł Lidera Dekady.

Uczciwa oferta

Klienci doceniają Credit Agricole przede wszystkim za rzetelną i profesjonalną obsługę, uczciwą ofertę i niskie oprocentowanie kredytów. Bank jest chwalony również za elastyczność w podejściu do potrzeb klientów i łatwość uzyskania kredytu. Wielu konsumentów korzysta z programów ratalnych od lat i uważa Credit Agricole za uczciwą i odpowiedzialną firmę.

– Kolejny tytuł Konsumentki Lidera Jakości potwierdza naszą silną pozycję na rynku kredytów ratalnych. Jesteśmy w tym segmencie ekspertami i coraz lepiej rozumiemy potrzeby klientów. Bardzo cieszymy się, że klienci to zauważają i doceniają – mówi Tomasz Kamiński, dyrektor Departamentu Sprzedaży i Relacji z Partnerami. – Cieszymy się również z tego, że coraz więcej firm chce wspólnie z nami rozwijać swój biznes. Udośkonalenie klientom płatności ratalnych jest bardzo silnym impulsem rozwojowym i po prostu się oplaca. Wciąż razem możemy dawać klientom jeszcze więcej korzyści.

Korzyści na zakupach

Zakupy na raty są opcją, w której klient zawiera umowę kredytową z bankiem na rozłożenie płatności w czasie. Na jej podstawie bank płaci za towar sprzedawcy, a ten pozwala klientowi od razu odebrać zakupy. Później klient oddaje bankowi całą pożyczoną kwotę, rozłożoną na małe, miesięczne raty. Dzięki temu nawet kosztowne zakupy są niewielkim obciążeniem dla domowego budżetu.

– Formalności związane z udzieleniem kredytu ratального są bardzo proste i zajmują dosłownie kilka minut.

W naszym banku cały proces bardzo krótko i w całości obsługiwany jest on-line, bank podpisuje umowę elektronicznie, a klient przy pomocy kodu z SMS-a – wyjaśnia Przemysław Przybylski.

Oferta ratalna Credit Agricole dostępna jest w prawie 12 tysiącach punktów sprzedaży: zarówno w dużych sieciach, jak i w tysiącach małych i średnich sklepów w całej Polsce. Obejmuje bardzo szeroki asortyment towarów.

– Finansujemy m.in. sprzęt RTV i AGD, artykuły do majsterkowania i prac ogrodowych, czy rowery. Mamy także ofertę kredytów ratalnych przeznaczonych na duże inwestycje w poprawę warunków mieszkaniowych. Pomagamy klientom instalować fotowoltaikę, wymieniać piecze, czy docieplać budynki – wyjaśnia Agata Bałaj, dyrektor Biura Animacji Sieci Partnerskiej Credit Agricole.

Gwarancja stałej stopy

Warto dodać, że kredyty ratalne Credit Agricole udzielane są w oparciu o stałą stopę oprocentowania, co oznacza, że wysokość miesięcznej raty nie zmienia się przez cały okres trwania umowy kredytowej.

– Zaletą kredytu o stałej stopie procentowej jest jego stabilność i przewidywalność. Raz ustalona wysokość oprocentowania nie zmienia się przez cały ustalony z bankiem okres. Niezależnie od tego, co się będzie działo w gospodarce, u nas wysokość raty się nie zmieni. Dzięki temu zawsze znana jest całkowita kwota, jaką trzeba oddać bankowi i nigdy nie będzie tu żadnych niespodzianek – wyjaśnia Tomasz Kamiński.

AGATA KRACZEK



REKLAMA

Innowacje, które zmieniają codzienność domową.

Główny rynek smart home rośnie w tempie kilkunastu procent rocznie – w 2028 roku jego wartość ma wynieść 231 mld dolarów¹, a rozwiązania związane z monitoringiem i bezpieczeństwem należą do tych najszybciej adaptowanych. Użytkownicy nie szukają wyłącznie „gadżetów”, tylko narzędzi, które dają im realną kontrolę. Jak pokazuje badanie SW Research z zeszłego roku, już 60% właścicieli domów w Polsce uważa możliwość zdalnego kontrolowania i monitorowania zabezpieczeń za ważną. To wyraźny sygnał, że automatyzacja domu staje się świadomym wyborem, który łączy wygodę i długofalowe myślenie o oszczędnościach i bezpieczeństwie w domu.

Rok 2026 niedawno się zaczął, a już przynosi nam wyjątkowe wyróżnienie – nagrodę Konsumentki Lidera Jakości 2026 w kategorii „Inteligentny monitoring i zarządzanie domem”. To dla nas przede wszystkim potwierdzenie, że rozwiązania smart home, coraz mocniej odpowiadają na realne potrzeby użytkowników i użytkowników.

Użytkownicy coraz częściej zwracają uwagę na prostotę obsługi systemów. Dlatego smart home Somfy jest wygodnym wyborem – w jednej aplikacji można łączyć i sterować urządzeniami wielu topowych producentów. Otrzymane wyróżnienie traktujemy jako potwierdzenie, że ten kierunek rozwoju realnie odpowiada na potrzeby użytkowników i codziennego życia. Właśnie w tym widzimy sens smart home: w rozwiązaniach, które zwiększają komfort i bezpieczeństwo, oszczędzają czas i pozwalają skupić się na tym, co naprawdę istotne. Dziękujemy za okazane zaufanie. To ono pozwala nam od 30 lat konsekwentnie rozwijać rozwiązania smart home na polskim rynku – komentuje Krzysztof Majewski, Country Manager, Somfy.

¹ Statista.

somfy

Pracodawcy godni zaufania BIZNES KTÓRY DZIAŁA



Rozmowa z **GRZEGORZEM KOZICKIM**, Dyrektorem Programu ODPOWIEDZIALNY PRACODAWCA – LIDER HR 2026



– Czym jest Program Odpowiedzialny Pracodawca – Lider HR?

– Odpowiedzialny Pracodawca – Lider HR to ogólnopolski Program z obszaru human resources, którego celem jest upowszechnianie oraz propagowanie właściwych wzorców, modeli i strategii działań w zakresie polityki personalnej oraz strategii integracji spraw personalnych ze sprawami biznesowymi. Program adresowany jest do firm dla których dbałość o warunki pracy i rozwój pracowników wpisana jest w strategię przedsiębiorstwa. Głównym kryterium wyboru laureatów Programu jest szeroko rozumiana jakość zatrudnienia. Zwracamy uwagę na takie kwestie jak przestrzeganie przepisów BHP, przestrzeganie prawa pracy, możliwości rozwoju kadry, podnoszenia kwalifikacji pracowników, dynamikę zatrudnienia oraz reputację podmiotów gospodarczych czy społecznej odpowiedzialności biznesu.

– Dlaczego warto wziąć udział w tym Programie?

– Większość przedsiębiorców, korporacji, mierzy się z prawdziwym wyzwaniem jakim jest nie tylko pozyskanie dobrego pracownika ale i spowodowanie by zechciał on związać się z firmą na dłużej. W toku tej konfrontacji, drogą naturalnej selekcji, zwycięzcami okazują się być firmy uczciwe, solidne i odpowiedzialne. Według wszelkich badań to właśnie do ich drzwi najchętniej pukają osoby ambitne, nastawione na rozwój i zaangażowanie, chcące podjąć pracę. Z perspektywy osoby szukającej pracy to też nie jest zadanie łatwe. No bo jak do takiego pracodawcy trafić? Ten dylemat rozwiązuje nasz program: kontaktujemy się z setkami, a nawet tysiącami firm, przyglądamy się im, weryfikujemy, a finalnie rekomendujemy najlepszych, odznaczając ich godłem promocyjnym Odpowiedzialny Pracodawca – Lider HR.

– A samo godło, o którym Pan wspomina, wydaje się być bardzo skutecznym narzędziem w rękach pracodawcy...

– Oczywiście. Promowanie się naszym godłem to czytelny, wyraźny i wymowny komunikat, jaki Laureat programu może wysłać do swoich potencjalnych pracowników. Nasze godło budzi duże zaufanie wśród osób szukających pracy, taka osoba widząc np. ogłoszenie o pracę w danej firmie, która posługuje się godłem Odpowiedzialny Pracodawca – Lider HR, spojrzy na nie ze znacznie większą uwagą i zainteresowaniem, takie sygnały otrzymujemy co roku z rynku pracy. Godło jest wiarygodną gwarancją rzetelności, solidno-

ści i wysokiej pozycji rynkowej Laureata, a także inwestycją w dalszy, dynamiczny rozwój firmy.

– Rok 2026 przynosi już XVI. edycję Programu Odpowiedzialny Pracodawca – Lider HR. Tak długi staż musi być efektem wciąż dużego uznania jakim cieszy się to przedsięwzięcie.

– W tym roku mija już szesnaste lat od momentu gdy ruszyła pierwsza edycja naszego Programu. To ważny moment, ponieważ, jak każdego roku z jednej strony będziemy mogli przyrzec się naszym dotychczasowym Laureatom z pewnej czasowej perspektywy, zaobserwować zachodzące u nich zmiany, dynamikę rozwoju, pokusić się o pewne podsumowania i wnioski, a z drugiej strony z nieukrywaną ciekawością oraz z poczuciem wielkiej odpowiedzialności podejmiemy się poszukiwania nowych Laureatów, najlepszych pracodawców w naszym kraju. Tak długa już obecność Programu Odpowiedzialny Pracodawca – Lider HR na polskim rynku pokazuje też jak ważne i potrzebne jest to co robimy.

– W jaki sposób można zostać Laureatem programu?

– Pierwszym krokiem jest zgłoszenie. Zapraszamy na stronę odpowiedzialny-pracodawca.pl i dokonanie zgłoszenia poprzez formularz lub bezpośredni kontakt z Redakcją. Po zgłoszeniu każdy z kandydatów zostanie przeprowadzony przez proces weryfikacji. Na samym jego końcu...pozna werdykt i otrzyma uzasadnienie decyzji Kapituły Programu. Czekamy na Państwa zgłoszenia!

Rozmowa z **Martą Szymczak** – właścicielką DepilConcept Polska – lidera rynku trwałej depilacji (122 salony)



Czym jest dla Państwa zwycięstwo w programie Konsumentki Lider Jakości 2026, za którym stoi tak wiele pozytywnych opinii konsumentek?

To dla nas przede wszystkim twardy dowód, że strategia oparta na doświadczeniu klienta działa – i to nie w teorii, tylko w praktyce. To wyróżnienie ma dla nas szczególną wartość, bo nie jest efektem kampanii wizerunkowej, tylko realnych opinii kobiet, które przeszły przez nasze zabiegi i nasz proces obsługi. Mówiąc wprost: to nie my mówimy, że jesteśmy dobrzy – mówią to nasze klientki. Dziękujemy za zaufanie okazane nam przez 15 lat.

Z biznesowego punktu widzenia to też jasny sygnał dla rynku: jakość nie jest u nas dodatkem, tylko trzonem modelu operacyjnego. A jeśli jakość jest powtarzalna w skali całej sieci, to znaczy, że system działa. System opiera się na efektach, komfortie i relacjach.

W jaki sposób słowo „jakość” wpisuje się w filozofię działania marki DepilConcept Pol-

ska? Czym staracie się wyróżniać na tle konkurencji?

Dla nas jakość to nie slogan – to proces, który zaczyna się na etapie szkolenia personelu, a kończy na długofalowym efekcie u klientki.

Budujemy naszą sieć w oparciu o 3 filary:

1. standaryzacja usług – niezależnie od lokalizacji, oferujemy ten sam poziom obsługi i bezpieczeństwa.
2. technologia i know-how – pracujemy na sprawdzonych rozwiązaniach, które cały czas udoskonalamy.
3. budowanie zaufania – zarówno wobec klientek, jak i zespołów – nie sprzedajemy zabiegów, tylko realnie rozwiązujemy problemy. Tworzymy środowisko pracy, w którym zespoły salonów czują się pewnie, rozwijają się i są częścią większej misji.

Naszym celem jest dostarczanie realnej wartości – mierzonyj poprawą komfortu i jakości życia naszych klientek. To jest nasz główny wskaźnik sukcesu.

Ten rok to 15-lecie marki DepilConcept Polska. Jakie były Państwa początki?

Początki, jak to zwykle bywa, były wyzwaniem. Kiedy wchodziliśmy na rynek istniało 11 konkurencyjnych sieci zajmujących się depilacją, z których po latach pozostaliśmy tylko my. Kosztowało nas to dużo pracy i konsekwencji w budowaniu zaufania wśród klientek i naszych pracowników. Startowaliśmy z jasną wizją: stworzyć markę, która będzie liderem na rynku trwałej depilacji i nada mu standard jakości.

Najważniejsze momenty?

Kiedy nasi franczyzobiorcy zaczęli otwierać kolejne swoje salony i rekomendować współpracę z nami rodzinie i przyjaciołom. To nas utwierdziło w przekonaniu, że zbudowaliśmy silną społeczność franczyzobiorców – realny fundament naszej marki.

I dziś – 15-lecie oraz nagroda Konsumentki Lider Jakości 2026 – to symboliczny dowód, że konsekwencja we wdrażaniu misji firmy ma sens.

Dlaczego warto dołączyć do zespołu DepilConcept Polska i zostać franczyzobiorcą? Co oferujecie, czego wymagacie?

Nie sprzedajemy „biznesu marzeń”, tylko sprawdzony model, który działa – pod warunkiem, że ktoś chce go naprawdę prowadzić.

Co oferujemy:

- gotowy, przetestowany model biznesowy,
 - silną, rozpoznawalną markę,
 - inspirującą społeczność,
 - pełne wdrożenie i wsparcie operacyjne,
 - know-how marketingowe i sprzedażowe,
 - realne partnerstwo, a nie tylko relację „centrala-punkt”.
- Czego wymagamy:
- zaangażowania – to nie jest pasywny biznes,
 - konsekwencji w przestrzeganiu standardów,
 - otwartości na rozwój i pracę z ludźmi,
 - odpowiedzialności za jakość, którą firmujemy wspólnym logo.

Jeśli ktoś chce budować stabilny biznes w oparciu o sprawdzony system i realne wsparcie – jesteśmy bardzo dobrym wyborem.

REKLAMA

Konsumentki Lider Jakości 2026

CEKOL®
Najlepsze gładzie ponownie nagrodzone

CEKOL PRO XT
DWUFUNKCYJNA
WODA SPOŁOŻYWA

CEKOL F-36
Bezpyłowa Gładź szpachlowa

REKLAMA

koral®

Dziękujemy za zaufanie, które nigdy nie topnieje.

Konsumentki Lider Jakości 2026

Złoto od konsumentów.
Najśłodsze wyróżnienie.

REKLAMA

ludwik®
płyn nr 1 w Polsce*

NOWOŚĆ
ludwik
CYTRYNOWY
PŁYN DO NACZYŃ
Bezwygodny dla tłuszczu
EXTRA SIŁA MYCIA

*Grupa Inco za NielsenIQ, Panel Handlu Detalicznego, Cała Polska (Drug), udział sprzedaży wolumenowej w litrach, Tydzień 1'2025-Tydzień 52'2025 kategoria: Płyny do mycia naczyń (Prawa autorskie © 2026, NielsenIQ)

Dziękujemy za zaufanie!

Przyszłość pracy zaczyna się od ludzi

Z **BARBARĄ CENĄ**, Członkiem Zarządu Huty Stalowa Wola S.A., rozmawia Grzegorz Kozicki



– Huta Stalowa Wola od wielu lat należy do grona cenionych pracodawców. Jak na przestrzeni czasu zmieniło się podejście firmy do zarządzania kapitałem ludzkim i kultury organizacyjnej?

– Huta Stalowa Wola S.A. to odpowiedzialny pracodawca, który dynamicznie dostosowuje się do zmian rynkowych, regulacyjnych i wzrostu produkcji. W ostatnich latach przeszliśmy transformację z modelu tradycyjnego w nowoczesną organizację oferującą transparentne warunki zatrudnienia. Kluczowe było powiązanie polityki HR z celami biznesowymi, co przełożyło się na rozwój produktów, pozyskiwanie specjalistów oraz inwestycje w rozwój pracowników. Istotną rolę odegrało wartościowanie stanowisk oraz uelastycznienie systemu wynagrodzeń. Duży nacisk kładziemy na komunikację, świadomość biznesową i orientację na cele.

– Nagroda Odpowiedzialny Pracodawca – Lider HR XV-lecia to szczególne wyróżnienie. Co Pani zdaniem w największym stopniu przyczyniło się do tego, że Huta Stalowa Wola znalazła się w gronie firm nagrodzonych w tym jubileuszowym zestawieniu?

– To efekt konsekwentnej realizacji strategii personalnej. Wyróżnienie potwierdza skuteczność działań w obszarze transparentnych wynagrodzeń, rozwoju pracowników, opieki zdrowotnej, ochrony środowiska i CSR. Kluczowe znaczenie miało zaangażowanie całej organizacji – pracowników, kadry zarządzającej oraz partnerów społecznych. To wspólny sukces.

– Branża przemysłowa i zbrojeniowa przechodzi dziś dynamiczne zmiany technologiczne. Jak wpływają one na politykę personalną i oczekiwane kompetencje?

– Polityka personalna jest fundamentem rozwoju firmy. Stawiamy na otwartą komunikację i zarządzanie oparte na kompetencjach. Oferujemy szeroki dostęp do szkoleń, studiów podyplomowych, MBA i certyfikacji, co wspiera rozwój i sukcesy kompetencji. Największe zmiany wynikają z automatyzacji, digitalizacji, sztucznej inteligencji, robotyki i mechatroniki. Istotne są także wymagania jakościowe, bezpieczeństwo oraz zgodność z regulacjami i standardami ESG.

– Jak HSW buduje swoją atrakcyjność jako pracodawca, szczególnie dla młodych talentów? – Naszą największą wartością jest człowiek, dlatego inwestujemy

w rozwój pracowników poprzez systemowe programy szkoleniowe i dostęp do platform edukacyjnych, w tym językowych. Jesteśmy członkiem Koalicji na rzecz Przyjaznej Rekrutacji. Współpracujemy ze szkołami i uczelniami, organizujemy praktyki, angażujemy się w tworzenie programów kształcenia oraz rozwijamy kierunki studiów. Prowadzimy również Fundusz Stypendialny dla najlepszych studentów.

– Jakie są najważniejsze wyzwania i cele w obszarze HR, które Huta Stalowa Wola stawia sobie na najbliższe lata?

– Dynamiczny rozwój firmy wiąże się ze wzrostem zatrudnienia i koniecznością planowania kompetencji przyszłości. Wyzwania wynikają m.in. z rozwoju AI, cyfryzacji oraz koncepcji Industry 5.0, która stawia człowieka w centrum technologii. Naszym celem jest realizacja planów produkcyjnych i dalsze inwestycje, ale fundamentem pozostaje rozwój kompetencji pracowników. To ludzie są kluczowym zasobem organizacji i gwarancją jej sukcesu. Z tego miejsca w imieniu Zarządu dziękuję wszystkim naszym pracownikom za ich zaangażowanie w codzienną pracę. Bez nich wiele założonych celów nie byłoby zrealizowanych. To właśnie ich zaangażowanie, a także wiedza, lojalność i wzajemny szacunek przyniosły zamierzony efekt. Osoby poszukujące pracy lub planujące jej zmianę – zachęcam do rozważenia pracy w Hucie Stalowa Wola S.A. Zapraszam do odwiedzenia zakładki kariera na naszej stronie www.hsw.pl i zapoznania się z naszą ofertą. Dziękuję.



REKLAMA

Naturalna elegancja

Muszynianka

www.muszynianka.pl

KONSUMENTKI
LIDER
JAKOŚCI
2026

Protest przeciwko lokalizacji przebiegu IV linii metra do Stacji Techniczno-Postojowej przy ul. Wiślickiej – G 10

Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa „Rakowiec”, w związku z decyzją władz m.st. Warszawy o niedokonywaniu zmian w przyjętym Studium rozwoju metra w Warszawie oraz przyjętym na jego podstawie Projekcie koncepcyjnym – Raportie wstępnym, składa stanowczy protest przeciwko planowanemu przebiegowi IV linii metra przez tereny oraz pod budynkami mieszkaniowymi należącymi do naszych zasobów, a także brakowi konsultacji społecznych z mieszkańcami i Spółdzielnią.

Protestujemy przeciwko:

- przebiegowi IV linii metra pod 11-kondygnacyjnymi wieżowcami wybudowanymi w latach 70. XX wieku – w szczególności pod budynkami przy ulicy Raclawickiej 142 i w bliskim sąsiedztwie 11-kondygnacyjnych budynków przy ulicach Raclawickiej 144, Jasielskiej 38/42 oraz Wiślickiej 3, 5 i 7.

Uzasadnienie:

Powyższe obiekty znajdują się w zasięgu strefy oddziaływań wykopów głębszych, zaś planowana budowa ścian zewnętrznych w technologii ścian szczelinowych oraz wykonanie wewnętrznej konstrukcji stacji metodą stropową, stanowią bezpośrednie zagrożenie dla wytrzymałości konstrukcji budynków wysokich wykonanych z wielkometryrowych prefabrykowanych elementów żelbetonowych, a co za tym idzie dla bezpieczeństwa ich mieszkańców.

- przebiegowi IV linii metra pod ujęciem wody oligocenińskiej przy ulicy Pruszkowskiej 4d, stanowiącemu zagrożenie dla funkcjonowania tego ujęcia i mogącemu pozbawić mieszkańców Spółdzielni dostępu do wody pitnej, niezależnego od ujęcia wodno-kanalizacyjnych miasta.

Uzasadnienie:

Zagrożenie związane z planowanym przebiegiem linii metra jest

istotne zarówno w kontekście kładzonego nacisku na ochronę naturalnych ujęć wody pitnej, jak również w obliczu obecnej sytuacji geopolitycznej i trwającego konfliktu za naszą wschodnią granicą.

Jednocześnie planowany przebieg IV linii metra bezpośrednio pod Domem Kultury „Rakowiec” przy ulicy Wiślickiej 8, stanowi zagrożenie dla zabudowy hansenowskiej wpisanej do rejestru Gminnej Ewidencji Zabytków nieruchomości przez Mazowieckiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków.

W związku z powyższym, WSM „Rakowiec” żąda merytorycznego odniesienia się do zaproponowanego przez nas rozwiązania:

- przeprowadzenia skorygowanej trasy przebiegu IV linii metra przez niezabudowane tereny wzdłuż ulicy Pawińskiego w kierunku ulicy Księcia Trojdena, a następnie ulicy Księcia Trojdena po stronie szpitala i Uniwersytetu Medycznego, do ulicy Żwirki i Wigury i wzdłuż parku przy tej ulicy, do ulicy Raclawickiej po stronie Cmentarza Żołnierzy Radzieckich, lub pod Parkiem im. Zastawa Malickiego w kierunku Alei Żwirki i Wigury, Alei Żwirki i Wigury i do ulicy Raclawickiej.



Trafika ponownie na podium!

Rozmowa z **EMILEM TRAPAGIELEM** Prezesem Zarządu Tabak Grupa sp. z o.o.

– Trafika.pl po raz kolejny otrzymała Złoty Medal Konsumentki Lider Jakości 2026...

– ...zgadza się. Nasz profesjonalizm, doradztwo i kompetentna obsługa zostały docenione. Staramy się bardzo szybko reagować na potrzeby Klientów. Cały czas rozszerzamy ofertę produktów i udoskonalamy prowadzone przez nas działania. Chętnie odpowiadamy na każde pytanie i w pełni wiarygodnie, staramy się sprostać najbardziej wymyślnym oczekiwaniom. Dokładamy wszelkich starań, aby zamówienia były realizowane błyskawicznie, a oferowany towar był najwyższej jakości. Bardzo wysoko stawiamy sobie poprzeczkę gdyż wymaga tego zmieniająca się rzeczywistość – Klienci mają coraz mniej czasu więc wyszliśmy im naprzeciw tworząc sprawny sklep internetowy z ogromnym asortymentem.

– Jakich produktów konsumenci najczęściej poszukują? – Poszukują wyłącznie produktów legalnych, najwyższej jakości, pochodzących bezpośrednio z zakładów tytoniowych i autoryzowanych dostawców i takie właśnie mamy w naszej ofercie. Zależy nam na całkowitym zadowoleniu Klientów z dokonywanych u nas zakupów dlatego zakupiony towar zostaje natychmiast zapakowany i wysłany jesz-

cze tego samego dnia. Daje nam to możliwość unikania wielkich zapasów. Naszym atutem jest ogromny wybór, szybka dostawa a nasza dewiza to: kupuj tanio, szybko i na czas.

– I tą jakością oraz oszczędnością czasu jesteście w stanie im zapewnić każdego dnia?

– Owszem. Nasz asortyment tworzą produkty najwyższej jakości, w 100% oryginalne. Chcąc zapewnić jak największy wybór oferowanych produktów nieustannie poszerzamy naszą ofertę. Dokładamy wszelkich starań, aby dostarczenie zamówionego towaru odbywało się jak najkrótszym czasie. Naszym celem jest zapewnienie niskich cen, jak również nienaganej i fachowej obsługi. Najlepszym tego dowodem jest zaufanie ponad 30 tys. stałych Klientów.



Właścicielem sklepu jest Tabak Grupa Sp. z o.o., która zajmuje się handlem papierosami, tytoniem i kawą od praktycznie 1989 roku. Obecnie firma posiada ponad 50 specjalistycznych sklepów. TRAFIKA, zajmujących się handlem wyrobami tytoniowymi, cygarami, kawą oraz innymi użytkownikami. Rozlokowane są one w centralnej i zachodniej Polsce.

REKLAMA

pocztakwiatowa®

Kim jesteśmy?

Architektami Waszych wspomnień. Łączymy bliskich, doręczając najwyższą jakość i szczerą emocje prosto do serc. Jesteśmy liderem jakości w doręczaniu Twoich najpiękniejszych emocji.

www.pocztakwiatowa.pl
tel. 22 828 95 95

KONSUMENTKI
LIDER
JAKOŚCI
2026